

jak pan żyć sobie możecie. To wcale co innego niż całe życie włożyć się ze służby na służbę, cudze kąty wycierać, od ludzkich kaprysów zależeć i ludzkie złości znosić... — Wiesz daje więc swobodę i niezależność...

Tak oto nowe treści społeczne przeniknęły do **starego wzoru osobowego „pocziwego kmiotka”**, obijającego się od setki blisko lat po literaturze moralizatorskiej dla chłopów pańszczyźnianych i czynszowych. Kmiotka tego znamy dobrze. Jest pobożny, pracowity, posłuszny, skromny, zadowolony ze swego położenia, ochędźny, miłosierny, spokojny, łagodny i z reguły zawsze „zdrow i wesół”. Do wioski swej jest przywiązany, miastem gardzi i boi się go; ani mu przyjdzie do głowy grzeszna i zgubna myśl porzucenia wsi dla szukania niepewnego szczęścia w mieście. Gdy kmiołek otrzymał wolność i ziemię na własność, okazało się, że jedynie na wsi może być nie tylko zadowolony i szczęśliwy, ale jednocześnie i wolny. Orzeszkowa sugeruje, że w porównaniu z proletariatem miejskim, związanym tysiącami nici skomplikowanych zależności społeczno-ekonomicznych z pracodawcami, chłop cieszy się pełnią swobody. Orzeszkowa tę teorię **wiejskiego sobiepaństwa** rozwija z uporem. Dla pewności, żeby wszystko „jak najbardziej „niezależnie” wyglądało, nie pokazuje Orzeszkowa całosci spraw wiejskich, ani dworu, nie doprowadza Pawła do zerknięcia się z „państwem”.

W stosunkach z „państwem” głosi „cham” zresztą inną etykę, niż etyka rzetelnego poddanego lub wiernego sługi. Jest to moralność uczciwego kontrahenta w umowie o najem pracy. Surowo gromi Frankę za przeklinanie chlebodawców i za chęć wykreślenia się od roboty — „co państwu swemu przyrzekała, to i spełnić powinna. Do ostatniej minuty służyć im powinna, potem zaś, no, skoro za mąż wychodzi, to i oni sami rozumieją, że odprawić się musi”. Stosunki między klasami w sielankowym wydaniu regulować ma rzetelność i zrozumienie wzajemne.

ZBRODNIĄ TO NIESELYCHANA...

Jedną z najbardziej zabawnych konwencji krytycznych, jaka ustaliła się we wszystkich bez wyjątku opracowaniach „Chama”, jest stwierdzenie, że powieść „nie obfituje w nadmiar niezwykłych wydarzeń”, że są to „dzieje, niby proste”. Ta jednogłosna opinia krytyków może mieć tylko źródło w niezwykle **opanowanym i powściągliwym toku narracji**, pozbawionym wszelkiego elementu sensacji, który punkt ciężkości przenosi na przegrody duchowe bohaterów, nie zaś na relację o faktach. Taki typ narracji, usuwający wszelkie elementy niezwykłości i patosu, konieczny był, by wraz z innymi czynnikami powieści przeciwdziałać patetycznej i koturnowej w założeniu postaci Pawła, umożliwić wmontowanie „życiowego świętego” w ramy pospolitego obrazu z nizin społecznych.

Tymczasem w małżeństwie Kobyleckich dzieje się dość dużo „niezwykłych” rzeczy, przynajmniej, „jak na wieś i na dzień powszedni”. Porachujmy: dwa romanse, ucieczka wiadrołomnej żony i powrót z „lakajskim” dzieckiem, początki obłędu, usiłowanie zabójstwa, wykupienie zbrodniarki z rąk policji i wreszcie samobójstwo, nie licząc kłótni, bojęk i pedagogicznych zabiegów Pawła, wspomnianych radą Awdoci: „Bieć Pauluku!”

Nie jest to osobiwością „Chama”. Oparcie konstrukcji tematycznej na **sensacyjnej, często autentycznej historii zbrodni**, lub przynajmniej wielkiej miłości, czy wielkiego nieśczęścia, jest nieodzownym kanonem wszystkich „chłopskich” utworów Orzeszkowej.

Człowiek wsi bywał przemycany w powieściach szlacheckich jako jeden z aktorów w trzech jedynie rolach: dziewczyny uwiedzionej przez pana, starego sługi, który wychodził na rektu panicza, czasem szlachetnego „włoszianina”, który okrył się chwałą w walce za Ojczyznę i uratował życie panu. Po to, aby gromada wiejska, jako autonomiczne tematycznie środowisko powieściowe, mogła budzić „interes artystyczny”, nie wystarczała egzotyka etnograficzna. Podobnie jak sentymentalny mieszczanin w powieści XVIII w., tak i XIX-wieczny chłop polski musiał wylegić się przy wstępie na Parnas „**zdolnością do wyższych uczuć i wielkich namietności**”. Dotychczas jednak w pozytywistycznej twórczości Orzeszkowej konwencja „zbrodni i namietności” wmontowana była doskonale w ramy jej koncepcji rozkładu sił społecznych. Orzeszkowa ukazywała kłębiące się na nizinach siły zbrodni czy buntu, wywołane krzywdą społeczną i ciemnotą, grożące zachwianiem podstaw budowy społecznej. Zbrodnia czy bunt (Jasiuk z „Nizin”, Dziurdzio-wie, Bąk i in.) — to były produkty nienaturalnych warunków rozwoju środowiska wiejskiego, Przerazały swym ścisłym, deterministycznym uwarunkowaniem społecznym.

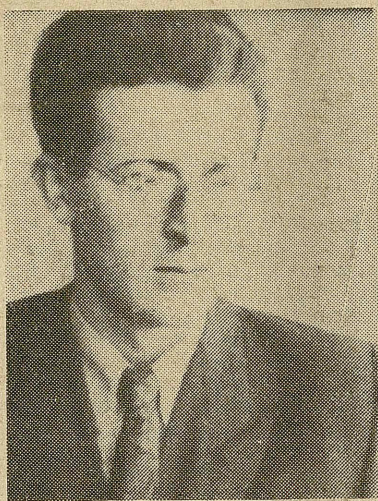
„Cham”, stanowi stanowczy zwrot w tym zakresie. Zbrodnia przychodzi tu z zewnątrz, by na chwilę zamącić pogodę, i spokój sumienia wsi szczęśliwej. Wiesz jest właśnie **ostoją społecznego ładu**. Doskonale zdefiniowanej środowiskowo postaci Franki przydała Orzeszkowa metafizyczną nadbudówkę problemu źródeł zła i cierpienia.

„Cham” to dziwna książka — jedyna w twórczości Orzeszkowej powieść **apologetyczna bez reszty, nie agitująca do społecznego działania**. Nawet tradycyjny rekwizyt pozytywistyczny — książka w ręku chłopca nie jest przejawem oświatowych tendencji. Książka bowiem nie może już niczym wzbogacić duchowej doskonałości „Chama”. Nie trzeba wprowadzać żadnych poprawek do doskonałej struktury gromady wiejskiej.

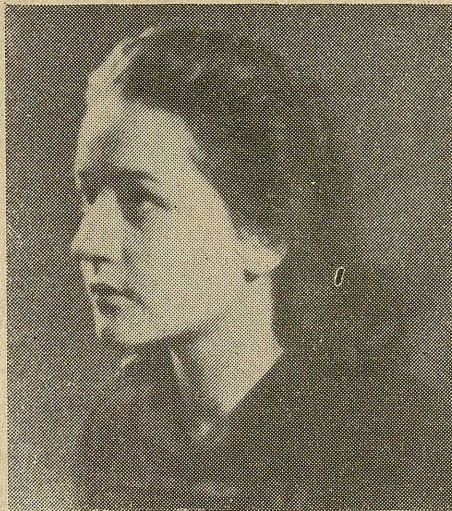
„Nie fizyczność, nie korzenie chłopskiego bytowania obchodziły ją (Orzeszkową) w „Chamie”, ale bytowania tego kwiat najprze-dziwniejszy. Wydobyla ona na jaw wartości wewnętrzne chłopca” — entuzjazmuje się prof. Pigoń. Niestety, kwiatek ten przypięto do zawieszono kożucha. Było to najmniej kosztowne „uwłaszczenie chłopca”.

Maria Żmigrodzka

W I E R S Z E



Jerzy Miller



Mieczysława Buczkówna



Tadeusz Różewicz

Mieczysława Buczkówna

PRZYJAZNYM

Nie by milczenie rozpalić do słów gasnących
ani podjąć lekko znużenie dni obecnych
pytam o zachowane wspomnienia.

Ty która przynosisz mi swoją przeszłość
przyjaciółko niespokojna intelektualistko
z taką ufnością jakbym rozumiała więcej
nie wiesz w jak kruche powierzasz się milczeniu.

A twoje listy — strzępki stłumionego żalu
(gdyż by dokładniej słowa zbyt słabe)
mówią mi więcej o sprawach, które słusznie taisez.

Jak pytania rzuconego nagle, które potem
napęla wstydem, że zbyt nieostrożne
wstrzegam się uważniejszych spojrzeń
w zachwiane w połowie zwierzenie.

Dobrze by mieć mądrość ostatecznie doświadczonych
i łagodność stanowczej wiedzy
tymczasem jednak przyjmować trzeba terazniejszość
z odwagą a nie bezsilnym gniewem,
buntując się przeciw przesadom, zastatym formom
wznosimy nowe, które nasze dzieci stracą,
tak dojrzewa historia.
Jesteśmy dla nas w swojej pracy więcej
niż w bólu przemijania, uczuciach nietrwałych
jesteśmy w naszej pracy lepiej.
Gdy biegniesz z politycznym hasłem
bardzo otwarta, przejęta

Jerzy Miller

POGROM

Gdy szli szczypiący brukiem
i marchew zdarta z pól
przez cieni długich bukieł
życiu odjeżdż na pól
zobojeźnieli nagle
na głód i werble maszyn
nie kryjąc się przed żagwią
ogni w obręczach faszyn.

Sciany padały martwe,
balkony, tam pawnice
zarem nagrzanę, syplie karty
kolejnej śmierci ulic.

Już tylko druty
biegną denikad
i w ceglach startych
fajansów skorupy,
wspominają życie,

to nie usta paniki
wielokrotne w dźwięku.
to już tylko ręka
na żelastwie płotu
martwa i bez ciała.

Tadeusz Różewicz

KSIEŻYC ŚWIECI

Ksieżyc świeci
pusta ulica
ksieżyc świeci
człowiek ucieka

ksieżyc świeci
człowiek upadł
człowiek zgasł
ksieżyc świeci

ksieżyc świeci
pusta ulica
twarz umarłego
kałuża wody.

pamiętaj, że są którzy wątpią
o tych dokładnie pamiętaj...

Tak, dodawać sobie musimy odwagi, odwagi
by ponieść lekko nie swoją tylko przyszłość.

GAŁĄZKA ŚWIATŁA

Jedynie żywe piękno
czułość spełniana w zachwycie
tak wielkim, że jest bólem umierania;
a to ręki dotyk, warg ciepło
do zbliżeń, którym granic nie ma
zniewala.
Wyrzekam się młodości
za ostrą w doznaniach i ruchu,
myśl przenikliwa jak płomień
wypaliła z doświadczeń struny milczenia
dla nazywania prawdziwszym imieniem.
Dlatego gdy mówię: piękny
nie szukam kształtów gładkich
barw świeżości młodej
lecz — wyrazu.
Gdy mówię: zostań
nie by obecnością zaspokoić pragnienie
lecz odrzucić ramię przeznaczeń
świadomości i wolę.
Jedynie żywe piękno
miłość — gałązka światła
podsycana najbliższym zbliżeniem.

PIEŚŃ WIELKANOCNA

Ceną zbyt gorzkich doznań
muru dotyka rozpacz,

zegar odwołał wiosnę,
pędów zielonych wodospad

i wielkanocne pieśni
pochłonał szczelny mur,

ściana płaczu doczesna
z dymu i chmur.

Druciki pierza wiatrem
w otechłań opadły trwożne,

umarłym zaśpiewa tren
nieistniejąca wiosna.

OD MOICH STÓP

Niebieska piłeczka
z dzieciństwa
toczy się
od moich stóp
dalej

nieuchwytną
darmo ścigam
wyciągając chciwe ręce
spływa cicho
z oka matki
pochylonej nad

toczy się jak śmiech
perlisty
perła za perłą
zongler zwałił ją
do ręki

ach jak lekko
i beztrosko
moim szczęściem
bawi ludzi
obcy człowiek.

O D DŁUŻSZEGO czasu szereg pism ekonomicznych na świecie (niezależnie od orientacji politycznej) przewidywało zbliżenie się kryzysu gospodarczego w USA. Przewidywania te były potwierdzone przez czołowych amerykańskich mężów stanu, którzy w obawie przed inflacją poczynili szereg zabiegów, przyczem plan Marshalla miał być generalnym remedium na zbliżającą się po „boomie” produkcyjnym depresję.

Wśród perspektyw, jakie notują w ubiegłym roku wybitni ekonomiści północno-amerykańscy, wypada zanotować dwie, operujące konkretnymi. Prof. dr C. F. Roos twierdzi, że pomyślna koniunktura w USA załamie się już w drugim półroczu 1948 roku, wówczas rozpocznie się depresja, która trwać będzie co najmniej przez cały rok 1949. Inny ekonomista, dr Woytinsky, twierdzi, że już w pierwszym półroczu 1948 r. nastąpi ostra depresja, a to z uwagi na przewidywany przez niego poważny spadek zamówień na sprzęt techniczny i towary inwestycyjne, nadto zaś z uwagi na rozpoczynający się w Marcu bardzo silny kryzys dolarowy, który zmusi wszystkie państwa do ograniczenia importu z USA.

Odpowiedź na to, czy trafne były te przewidywania, nie dała na siebie długo czekać. Ostatnie tygodnie sygnalizują spadek cen, milionowe straty kapitalistów i przemysłowców, idące w tysiące przypadków bankructwa. Aby umożliwić sobie wyrobienie dokładnego obrazu na aktualną sytuację gospodarczą w USA, musimy przede wszystkim określić rodzaj artykułów, na które ceny ostatnio spadły, dalej zbadać czy ceny te spadły wyłącznie na giełdzie zbożowo-towarowej, czy też w sprzedaży detalicznej i wreszcie ustalić przyczyny takiego stanu rzeczy oraz skutki zarówno dla klasy pracującej, jak i dla klasy kapitalistycznej.

Wg ostatnich danych, spadek cen dotyczy głównie: pszenicy, żyta, bawełny, wieprzowiny i kukurydzy, a więc produktów rolnohodowlanych. W grudniu ub. roku cena pszenicy na giełdzie w Chicago wynosiła 314 c. za 1 buszel, spadek cen jest stosunkowo szybki, bo w okresie od 3 do 18 lutego wynosi 51 centów na 1 buszu. Spadek cen na kukurydzy jest szczególnie trudny do wyjaśnienia, ponieważ w roku 1947/48 istnieje w USA poważny niedobór kukurydzy, który przewidywane się zastąpić przez spalenie 5 milionów ton pszenicy.

Spróbujmy te dwa wysunięte przez nas fragmenty życia gospodarczego obejrzeć zbliższymi. Mamy przed sobą tablicę, ilustrującą stosunek wywozu z USA do produkcji wewnętrznej. Mamy tam takie wyliczenia: w roku 1947 na eksport szło 38,5 proc. ogólnej produkcji bawełny, 31 proc. — nabiału, 29 proc. mięsa (w olbrzymim odsetku wieprzowiny wobec przeważającej konkurencji argentyńskiego mięsa wołowego), kukurydzy — 36 proc., a pszenicy — 23,3 proc. Te odzwierciedlają liczbę wykazującą, że produkty rolnohodowlane stanowią poważną pozycję w eksporcie USA. Stan gospodarczy tego kraju wymaga jak najusilniejszego rozwinięcia wagi i finansowo puli wywozowej, przyczem charakterystyczną cechą eksportu USA jest to, że zajmując pierwsze miejsce w skali światowej, angażuje zaledwie 9—10 proc. całej swojej produkcji, resztę zaś produkcji pochłania rynek wewnętrzny. Wg. danych „Foreign Commerce Weekly” można zaobserwować wyraźne zjawisko, że wzrost procentu, jaki przeznacza USA na eksport, idzie równomiernie ze wzrostem produkcji krajowej, ale jednocześnie rozwój produkcji i rozszerzenie jej gależy zmniejsza potrzeby importowe. Ponadto kraje, importujące dotąd z USA, nie mają już rezerwy dolarowych, bo wobec braku możliwości rozwijania swego eksportu do USA muszą płacić za dostarczone towary walutą tego kraju, a nie rekompensować przywozu wywozem.

Trzeba zwrócić i na to uwagę, że państwa kontynentu europejskiego, zwłaszcza zaś kraje o wysokim stopniu uprzemysłowienia, były głównymi odbiorcami na świecie artykułów żywnościowych i surowców przemysłowych. Wg „The Network of Trade World” (Genewa, 1942) w roku 1933 kraje Europy kontynentalnej importowały około 30 proc. światowego eksportu bawełny, 51 proc. — kukurydzy, 33 proc. — pszenicy itp., a więc tych artykułów, na które dziś spadają ceny w USA. Poza Europą skurczyły się również bardzo poważnie możliwości importowe wielu krajów zwłaszcza azjatyckich z wyjątkiem ZSRR. Światowy eksport pszenicy w 53 proc. — to USA, mięsa w 30 proc. — to USA itd. Jeżeli więc kurczy się możliwości zbytu na eksport, to automatycznie ceny spadają w warunkach gospodarki narodowej USA, obliczonej na wywóz.

Jest to jednak jedna tylko strona zagadnienia. Na podstawie doniesień prasy możemy ustalić, że ceny istotnie spadają, ale w kursie na giełdzie zbożowo-towarowej. Ceny detaliczne natomiast nie spadają, a więc przez to samo nie zmniejszają się koszty utrzymania pracującego najemnie Amerykanina. Faktem jest poza tym, że nawet ten giełdowy spadek cen hurtowych na niektóre tylko artykuły konsumpcyjne musi mieć dalsze konsekwencje. Na spadku cen tracą nie tylko tzw. grupy pośrednie o tendencjach monopolistycznego skupu, ale i farmerzy. Jeżeli tracą farmerzy, to w warunkach kapitalistycznej gospodarki rolnej wyśrubowane ich dywidendy w zyskach nie inogą — ich zdaniem — być zmniejszone, natomiast zmniejszeniu automatyzmu ulega zapotrzebowanie rolnictwa na produkty przemysłowe i inwestycyjne. Rolnik amerykański przy wielkich obszarach uprawnych ma perspektywę powrotu do gospodarki ekstensywnej, ale to przynosi — zmniejszenie potrzebnej ilości rąk roboczych

Tadeusz Orlewicz

SYGNAŁY DEPRESJI GOSPODARCZEJ USA

na wsi. Ze wsi wędruje nowa fala do miasta. W mieście — wobec zmniejszonego stanu zapotrzebowania na produkty przemysłowe — powiększa się bezrobocie; armia bezrobotnych z fabryk powiększa się bezrobotnymi robotnikami rolnymi. Tu tkwi sedno zagadnienia i dlatego spadek cen sygnalizowany ostatnio oznacza zbliżanie się głębokiej depresji gospodarczej, która w warunkach gospodarki kapitalistycznej w całym swym ciężarze spada na barki klasy pracującej.

Strona podaży nie jest wprawdzie w tym sensie punktem szczególnie zapalnym, natomiast można już obecnie obserwować oznaki, wróżące krytyczną sytuację na odcinku popytu. Na rynku wewnętrznym wytworzyła się taka sytuacja, że głos decydujący posiada sprzedający, a nie nabywca — konsument. Producent podwyższa produkcję, podwyższając jednocześnie ceny, warstwa pośrednicząca

stosowała politykę wysokich cen i pustych półek, wyśrubowując ceny ponad możliwości nabywcze przeciętnego konsumenta. Inaczej mówiąc ceny na artykuły pierwszej potrzeby rosły znacznie szybciej niż zarobki pracowników. To oczywiście osłabiło znacznie popyt wewnętrzny, a pożywką dla podtrzymania sztucznej tendencji zwykłej cen był wysoki poziom eksportu.

W roku 1946 przeciętny dochód Amerykanina wynosił — 1037 dolarów, ale w roku 1947 — 956 dolarów. Jednocześnie jednak wzrastał dochód społeczny. Co to oznacza? Oznacza nadmierną koncentrację kapitałów i dochodów z produkcji, oznacza, że istnieje w USA permanentne bezrobocie, dochodzące do 6—7 milionów osób (zarejestrowane + ukryte), oznacza, że zyski towarzyszą przemysłowym w USA były przeciętnie 4 razy wyższe niż w latach 1936—1939, dochody farmerów potroi-

ły się (wg „Wallstreet Journal”, I, 1948), oznacza w końcu, że proporcja udziału klasy pracującej w dochodzie społecznym staje się wielkością odwrotnie proporcjonalną do wzrostu udziału kapitalistów w tej puli dochodu.

Trzeba stwierdzić, że ceny w USA były nadmiernie wyśrubowane i ich obecny spadek w żadnym wypadku nie spowoduje żadnych korzystnych dla świata pracy konsekwencji, ponieważ dyktatorem cen jest sprzedający a nie nabywca i producent normalnym przebiegiem kalkulacyjnym zapewni sobie całkowity zysk w postaci nadwartości produkcyjnej. Spadek cen ma podłoże rzeczowe w nagromadzeniu towarów przede wszystkim nie długotrwałej konsumpcji, ale ma również i uzasadnienie w tym, że USA w okresie pokojowym nie mogą opanować swoich wydatków rozwinętych sił wytwórczych, a stąd krok do jeszcze większego nadmiaru kapitału zakładowego i jeszcze większego wzrostu bezrobocia niż to było przed wojną. Kiedy to co najmniej 40 proc. zdolności wytwórczej przemysłu USA nie było wykorzystanych, a bezrobocie obejmowało 9 milionów osób.

Możemy na tle tych informacji ustalić:

a) wysokość cen w USA określa się możliwościami eksportu i zyskiem producenta lub grupy pośredniej;

b) producent zainteresowany jest w utrzymaniu polityki wysokich cen i pustych półek, stąd zagadnienie planu Marshalla;

c) nagromadzenie dóbr i rozwój sił wytwórczych w USA powoduje nadmierne obciążenie przedsiębiorstwa i kapitałem zakładowym i przewlekającym się rozliczeniem kredytowym;

d) zagadnienia zagospodarowe grają dużą rolę w społeczeństwie USA, stąd szybkie przejawy paniki;

e) ceny spadają tylko na giełdzie, w kursie, ponieważ brak odpowiednich nabywców na rynku wewnętrznym i zewnętrznym;

f) spadek cen głównie na produkty rolnohodowlane nie jest tak poważny, aby równoważył wzrost kosztów utrzymania klasy robotniczej;

g) spadek cen już nawet tych na giełdzie przyniesie zmniejszenie zamówień, spadek produkcji i powiększenie się bezrobocia, a przez to samo i siła nabywcza klasy robotniczej będzie spadać, bo o tym, aby robotnik amerykański mógł coś zaoszczędzić na czarną godzinę, trudno mówić, skoro w roku 1944 oszczędności tej grupy wyniosły „aż” 17 dolarów na rodzinę.

Oto jeszcze kilka dodatkowych danych, obrazujących bliżej powyższe zestawienie.

Zniesienie kontroli cen i płac było przyczyną powstania wyraźnych procesów inflacyjnych. Od połowy 1946 roku ceny odzieży wzrosły o 18 proc., ceny przedmiotów gospodarstwa domowego i mebli o 18 proc., ceny żywności o 40 proc., a np. ceny mydła wzrosły o 50 do 70 proc. Najbardziej wzrost wskaźnik cen na artykuły spożywcze nabywane przez robotników najgorzej opłacanych, bo o 31—37 punktów.

Obserwuje się w USA wyraźny spadek produkcji i wzrost zapasów towarowych po wojnie. Ogólny wskaźnik produkcji spadł w porównaniu do roku 1946 o 23 proc., wzrosła tylko produkcja artykułów włókienniczych i skórzanym, ale wyraźny spadek wykazuje przemysł lotniczy, budowy okrętów, przemysł obrabiarkowy, samochodowy, spadoł wydobywczy węgla kamiennego i produkcja surowców. Tu poważną przyczyną spadku obok w/w były i strajki, które tylko w 1946 roku spowodowały utratę 120 milionów robotniczo-dniówek.

Jednocześnie zapasy towarowe w przemyśle i handlu wznosiły się w miliardach dolarów na koniec roku w następujący sposób: rok 1939 — 19,3, r. 1944 — 26,6, r. 1945 — 23,4, r. 1946 — 34,9, r. 1947 — 37,2. Wartość zapasów towarowych w handlu hurtowym wyniosła w tym czasie 50 proc., a zapasy w handlu detalicznym wzrosły o 30 proc.

Spadek produkcji i wzrost zapasów powoduje wzrost bezrobocia i spadek zarobków.

Obok bezrobocia zarejestrowanego (ponad 3.000.000 osób) o wiele groźniejszym jest fakt ukrytego bezrobocia czyli częściowego zatrudnienia w przemyśle. Rok temu pracujących poniżej 14 godzin tygodniowo było ponad 1 milion, a pracujących od 15 do 34 godzin tygodniowo było ponad 7 milionów. Oznacza to, że 20 proc. stanu zatrudnienia — to bezrobocie ukryte już w końcu roku 1946. Te podane wyżej 120 milionów straconych robotniczo-dniówek, to przeszło 2 proc. ogólnej liczby przepracowanych robotniczo-dniówek. W roku 1945 odsetek ten wynosił tylko 0,5 proc., a przed wojną przeciętnie — 0,3 proc.

Zwiększenie zapasów na składach i zmniejszenie produkcji powodowało brak towarów na rynku, a jednocześnie nominalne zarobki robotników, zatrudnionych w przemyśle, zmniejszone zostały w okresie rekonwersji w następnym:

a) zniesienia nadliczbowych godzin pracy, stosowanych podczas wojny;

b) przeszerzowania robotników z wysoko kwalifikowanych i dobrze opłacalnych zajęć w przedsiębiorstwach wojennych do nisko kwalifikowanych i gorzej opłacalnych zajęć w zakładach produkcji pokojowej.

Wg oficjalnych danych przeciętny tygodniowy zarobek robotnika w przemyśle był w r. 1946 o 12 proc. niższy w porównaniu z zarobkiem 1945 r. „Economic Notes” podaje, że realne zarobki robotników wykazywały spadek 34-procentowy, a z tym i zdolność nabywcza klasy pracowniczej spadła. O ograniczeniu zdolności płatniczej świata pracy w USA świadczy również wzrost kredytów na zakup towarów konsumpcyjnych na warunkach spłat ratalnych. Kredyty te wzrosły w okresie od X—1945 do II—1947 r. o 58 proc., a więc bez precedensu w stosunkach amerykańskich.

Listy polityczne

Pszenica i idea niepodległości

Drogi Przyjacielu!

Nie trzeba się nigdy dziwić zbiegowi faktów — choćby najbardziej paradoksalnych. Logika rzeczywistości jest niejednokrotnie różna od logiki formalnej — ale konsekwentna. Słuchaj więc...

W okresie kryzysu rolnego przed drugą wojną światową, buszel pszenicy w Stanach Zjednoczonych kosztował 68 centów. W roku 1947 cena pszenicy podniosła się już jednak do ponad 2 dolarów, by w roku 1948 osiągnąć maksymalną wysokość — 3,34 dolara. Po pewnych wahaniach i spadkach ustabilizowała się na poziomie 2,41 dolara za buszel. Powinno być przy tym wiedzieć, że fachowcy od spraw pszenicy dowodzą, iż podniesienie ceny buszla pszenicy do wysokości 1 dolara oznaczałoby zakończenie kryzysu i przysporzyłoby znaczne zyski handlarzom.

I jeszcze jedna informacja — w czasie wojny nożyce cen rynkowych w St. Zjedn. kształtowały się na korzyść produktów rolnych. Jeśliby rok 1926 przyjąć za 100 — to wysokość cen hurtowych towarów rolnych w roku 1948 wynosiłaby 195, a towarów przemysłowych — 148.

Komu przynosiła korzyść tego rodzaju sytuacja? Bezwątpienia bogatym kupcom i wielkim właścicielom ziemskim. Tak np. z miliona trzystu sześćdziesięciu tysięcy farmerów, których długi nie przekraczał 500 dolarów: 340 tys. wypłacało 9—10%, 186.000 — 10—13%, 59.000 — ponad 13%. A procenty szły do kieszeni tych, którzy znają się na uprawie roli na tyle jedynie, na ile jest to konieczne zamożnemu mieszkańcowi miasta.

12 marca 1947 roku przed komisję senacką został wezwany niejaki E. M. Pauli — wielki właściciel złóż naftowych, bliski współpracownik Trumana, przedstawiciel Stanów Zjednoczonych na międzynarodowej konferencji do spraw reparacji. Komisja senacka oskarżyła Pauliego o to, że w czasie pełnienia odpowiedzialnych funkcji w ministerstwie spraw wojennych — zajmował się równocześnie prywatnymi dostawami zboża dla armii. Pauli odpowiedział, że jeszcze przed objęciem stanowiska w ministerstwie zakupił 500.000 buszli pszenicy — by je w odpowiedniej chwili — w czasie podwyżki cen — z zyskiem sprzedać. Dowodził również, że intencją jego było zabezpieczenie przyszłości swojej rodziny. Cóż w tym karygodnego?

Przypomnij sobie mój drogi, postacie z opowiadań Caldwell, szczególnie z tego ostatniego drukowanego w „Kuznicy” — „Kłękaj przed wschodzącym słońcem”. Stary ojciec poszedł do świń szukać poży-

wienia — a świnie pożarły człowieka. Zapamiętaj to sobie — dane statystyczne świadczą, że amerykański farmer karmi pszenicą kury i świnie. A człowiek?

Ale to tylko na marginesie. Słuchaj — co dalej z pszenicą. Piszę Ci krótką historię przedmiotu, ale z niej przypuszczam poznasz motywy pewnych czynów i gerę pewnych idei.

Rok 1947 był w Stanach Zjednoczonych wyjątkowo urodzajny. Zbiory pszenicy obliczano na 38 mil. ton. I wolno przypuszczać, że gdyby Stany Zjednoczone nie użyły więcej pszenicy niż przed wojną (a nie było po temu naturalnych przyczyn) starczyłoby jej na zaspokojenie potrzeb Europy — i to po cenach normalnych. Ale jakimś dziwnym trafem zużyto właśnie wówczas na paszę dla bydła 8 mil. ton pszenicy. Czyż to nie przypadek?

W takich warunkach zwołano międzynarodową konferencję w sprawie pszenicy w początku br.

I cóż? Stany Zjednoczone, Argentyna i Kanada zgodziły się na eksport pszenicy po cenie 1,5 dolara za buszel (czyli o 50% drożej niż cena jednego dolara uznana przez fachowców za dostatecznie zyskowną dla amerykańskich kupców) — zmuszając przy tym kraje importujące do zakupu i udzielenia pomocy krajom tzw. marshallowskim.

Demokratyczna prasa francuska — kraju, który uczestniczył w konferencji — nie bez przyczyny pisała, że umowa ta przekreśla możliwość rozwoju rodzimego rolnictwa. A pamiętaj, że konferencja miała za zadanie udzielenie pomocy krajom tzw. marshallowskim.

Pszenica! Pszenica to tylko element, szczegół, wielkiego obrazu, którego ramę stanowi dzisiejsza rzeczywistość krajów kapitalistycznych.

Zaledwie skończyła się „pszenka” konferencja — prawica socjalistyczna krajów zachodnio-europejskich zwołała nową konferencję. Z myślą stworzenia „socjalistycznego centrum porozumienia i propagandy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Traf chciał, że odwiedziła wówczas Paryż angielska następczyni tronu, która w jednym z przemówień oświadczyła, że pojęcie niepodległości narodowej jest po prostu przeżytkiem. Tę samą myśl głosi również Churchill.

Czy zbieg tych faktów — to tylko paradoks historii? Pomyśl — a zrozumiesz.

Twój Krzysztof

W następnym numerze — o Czechosłowacji —
Jan Aleksander Król i Wiesław Jajdżyński

„WOLNA PRACA”

Aleksander Litwin

ANALIZA PRACY

KAPITALIZM — pisał Marks — uczył z robotnika „obdarzony świadomością dodatek do cząstkowej maszyny”. Człowiek — robotnik w społeczeństwie kapitalistycznym specjalizuje się w zawodzie, ale — po pierwsze — dla przytłaczającej większości ludzi pracy zawód ten jest narzucony przez okoliczności, nie odpowiada zamyślowaniom człowieka — robotnika; po wtóre — jest to specjalizacja w bardzo wąskim zakresie, jednostronna, ogłupiająca, rozwijająca jednostronnie i to przeważnie fizyczne — uzdolnienia człowieka; kaleczy go ona fizycznie i duchowo; po trzecie — pracownik fizyczny odcięty jest nieprzystępnym murem od nauki i wiedzy technicznej, która jest przywilejem odrębnej grupy, innej warstwy społecznej.



Anna Kuwsińska

Robotnik w kapitalizmie zna jedynie produkt cząstkowy, nie zna gotowego wytworu, który przecież jest przywłaszczany przez kapitał. Ten wytwór przeciwstawia się robotnikowi zarówno w procesie produkcji, jak tym bardziej w procesie wymiany na rynku. Wskutek zasadniczego przeciwieństwa kapitalizmu — między uspołecznioną pracą a prywatnym przywłaszczaniem — robotnik traci go z oczu — w produkcji; nie jest więc zainteresowany ani w pomnażaniu jego ilości — co jest przecież równocześnie z pogłębianiem wycisku i pomnażaniem zysków wroglej klasy, — ani nie jest zainteresowany w udoskonaleniu jego jakości; widzi go bowiem dopiero na rynku — nie jako przedmiot służący do zaspakajania potrzeb ludzkich, lecz towar — przedmiot służący do pomnażania zysków kapitalisty.

„Rzeczywiście — powiada Marks — wolna praca, np. praca kompozytora, jest zarazem diabelnie poważną sprawą; jest najbardziej intensywnym napięciem. Praca materialnej produkcji może zyskać tę cechę jedynie przez to, że 1) dany będzie jej społeczny charakter, 2) że będzie posiadać naukowy charakter.”

Wolna praca — powiada w innym miejscu Marks — musi być „pracą przyciągającą, samourzeczywistnieniem jednostki, co bynajmniej nie oznacza, że taka praca — to zwykła zabawa, zwykłe zadowolenie, jak to kranicowo naiwnie, przystosowując się do pojęć paryskiej gryzетки, pojmuje Fourier.”

Socjalizm, znosząc przeciwieństwo między pracą a środkami produkcji, między pracą a produktem pracy, znosząc podział pracy oparty na klasowym podziale społecznym — znosi przegrody jakie stawia kapitalizm między pracą fizyczną i umysłową. Stwarza w ten sposób warunki dla przekształcenia pracy fizycznej w pracę inteligentną. Współzawodnictwo pracy, przodownictwo pracy, ruch stachanowski — to droga zniesienia tego przeciwieństwa, droga uczynienia z pracy robotnika pracy technika i inżyniera. Bo czymże jest praca naszych przodowników-racjonalizatorów, czym jest praca np. Anny Kuwsińskiej, jeśli nie powiązaniem pracy fizycznej (w mniejszym lub większym stopniu) z pracą inżyniera, twórcy, wynalazcy, z pracą, jak kranicowo plastycznie porównuje Marks — kompozytora.

PODNIENIE KWALIFIKACJI —
WARUNKIEM POSTĘPU

Rozwój sił produkcyjnych był koniec końców zawsze przyczyną wszelkich przemian formacji społecznych. Rozwój — jednakże — demokracji ludowej i jej późniejsze przeobrażenie w wyższe formy ustroju społecznego tym, między innymi, różni się od wszelkich przeobrażeń dawnych społeczeństw, iż — jak stwierdził Lenin — „twórcami tego społeczeństwa mogą być tylko wielomilionowe masy. Jak setki były twórcami epoki pogaństwa, jak tysiące i dziesiątki tysięcy budowały państwo w epoce kapitalizmu, tak teraz przewrót socjalistyczny może być dokonany tylko przy aktywnym bezpośrednim, praktycznym udziale w kierownictwie państwem dziesiątków milionów.”

*) Anna Kuwsińska, stachanówka, tokarz Zakładów Łożysk Kulkowych im. Kaganowicza w Moskwie mówi: „Stachanowcy to ludzie myśli. Praca stachanowska wtedy się zaczyna, kiedy człowiek, który dotąd mechanicznie spełniał swe obowiązki, przestaje ślepo patrzeć na proces produkcji, stara się go zrozumieć, usprawnić, racjonalizować. W tym celu musi nieustannie pogłębiać swą wiedzę.”

Postęp techniczny jest zasadniczą drogą wyrwania Polski z przemysłowego i kulturalnego zacofania. Ciągły postęp techniczny jest zasadniczym prawem rozwojowym zdążającym do socjalizmu gospodarki ludowej. Wszelkie zastój, a nawet wszelkie poważne zahamowania tempa rozwoju gospodarczego, spowodowałyby nieuniknienie przyspieszenie procesu odradzania się kapitalizmu. Dlatego uprzedmiotowienie kraju jest zasadniczą metodą wykańczania gmachu ludowej demokracji.

U podstaw postępu technicznego leżą następujące założenia: 1) prawidłowy podział pracy w produkcji, zwolnienie wykwalifikowanych robotników od drugorzędnych, przygotowawczych prac; 2) racjonalizacja technologicznych procesów; 3) doskonalsza organizacja miejsca pracy.

Jeśli górnik zechce w pełni wykorzystać zdolność produkcyjną maszyny węgłowej, to musi on zwolnić się od wszelkich robót pobocznych. Te prace muszą wykonywać pomocnicy robotnicy. Jeśli traktorzysta zechce w pełni wykorzystać zdolność swego traktora, to musi się zwolnić od wszelkich prac przy plugu, kosiarce, dowożeniu paliwa itd. Wzrost wydajności pracy dokonuje się tu przez doskonały podział pracy i specjalizację każdego z robotników w swoim zawodzie. Ale też jedynie ten podział pracy umożliwia specjalizację.

Jeśli włóknarz zechce pracować na zwiększonej liczbie krosien, to trzeba mu doskona-

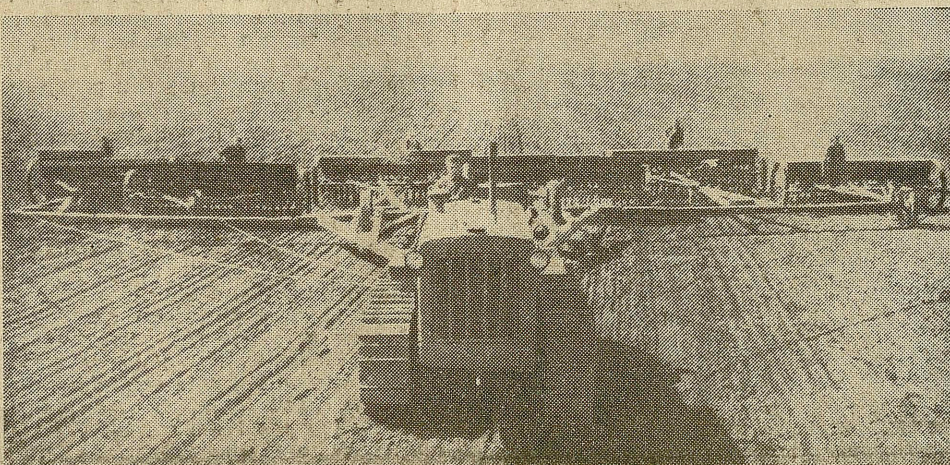
lej zorganizować miejsce pracy, udoskonalić nie zarówno osnowy, jak i wątku, zapewnić właściwą pomoc przy pracach przygotowawczych i pomocniczych itd.

Drobne nawet udoskonalenia racjonalizacyjne poważnie podnoszą wydajność pracy, maszyn i urządzeń w przemyśle hutniczym, metalowym itd. Znaną są np. fakty, jak drobne udoskonalenia noży do toczenia przyczyniły się do podwojenia produktywności tokarek czy heblarek.

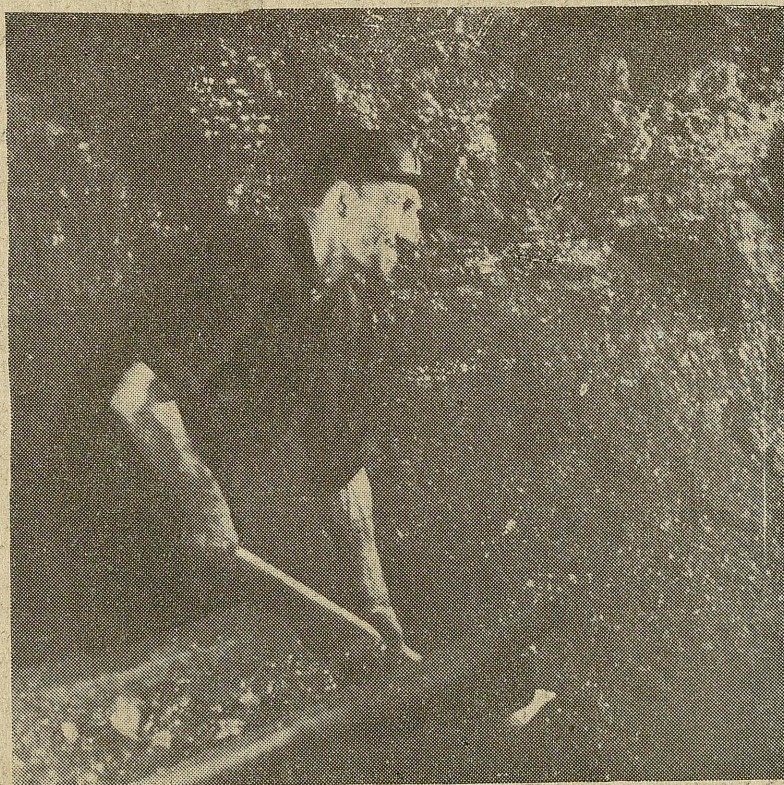
W polskim przemyśle i rolnictwie, w których procesy automatyzacji i półautomatyzacji są jeszcze nikłe nawet w produjących gałęziach gospodarki narodowej — wyłożone wyżej trzy zasady przodownictwa pracy posiadają szczególnie ważne znaczenie. Ich popularyzacja może się przyczynić do poważnego podniesienia wydajności pracy, a zarazem podniesienia współzawodnictwa pracy na wyższy szczebel.

Postęp techniczny powoduje ciągły postęp w podziale pracy, coraz dalsze różniczkowanie zawodów i specjalności, obumieranie starych, przeżytych zawodów, i powstawanie nowych, nieznanych uprzednio.

Oddział kotłowni w jednej z największych siłowni energetycznych w Polsce na kopalni „Wiktoria” w Wałbrzychu, obsługują jedynie 2—3 osoby, które kontrolują zegary i urządzenia. Dostawy węgla, wody itd. zostały całkowicie zautomatyzowane. Dawne zawody — palacze, kotłarzy, robotników podwórzowych itd. — postęp techniczny zniósł. Wraz więc z mechanizacją i automatyzacją procesów



Zmotoryzowany siew



W. Pstrowski w kopalni węgla



Odbudowa Warszawy

fot. Film Polski

produkcji, rosną elementy kontroli i regulacji nad wysiłkiem fizycznym. Rośnie rola umysłowego wysiłku nad fizycznym. Nowe zawody, które rodzi postęp techniczny, są bardziej kwalifikowane, bardziej złożone, o szerszym profilu. Rośnie rola technika i inżyniera; ale zarazem praca robotnika staje się coraz bardziej pracą technika i inżyniera, coraz szerzej praca fizyczna wiąże się, a ściślej mówiąc, przetrada się w pracę umysłową.

Ten kierunek rozwoju postępu technicznego daje właściwe perspektywy współzawodnictwa pracy, a zarazem dowodzi, że współzawodnictwo pracy w okresie postępu technicznego przemysłu i rolnictwa, a szczególnie w okresie rewolucji technicznej, do jakiej się szybko zbliżamy, będzie musiało wkroczyć w wyższą swą fazę — fazę w której coraz szerzej będzie wiązać podnoszenie wydajności pracy z podnoszeniem kwalifikacji technicznych pracujących, z rozszerzeniem ich wiedzy i horyzontów

KRYTYKA AGRARYZMU

Agrarzyści, którzy przeciwstawiają się procesowi uprzemysławiania kraju, zwalczają zasadniczo postępujący podział pracy. Ich zdaniem nieróżniczkowana, wielostronna praca chłopu na swojej zagrodzie, jest najwyższą i najbardziej cenną formą pracy, pracą, która najszerzej i najwszechstronniej rozwija ludzkie uzdolnienia, która jedynie może uczynić człowieka wolnym od jednostronności, szczególnie od otepiałej pracy fabrycznej. Ona „wiąże człowieka z naturą”; czyni go więc rzekomo najbliższym doskonałości.

Zwolennicy agraryzmu, którzy, klasowo rzecz biorąc, są obrońcami kapitalistycznego porządku rzeczy i własności bogacza wiejskiego, poddają krytyce wiele niedociągnięć pracy fabrycznej i życia miejskiego. Ale będąc wyrazicielami interesów pewnych grup kapitału, omijają rzecz zasadniczą: eksploatacyjną formę, jaką kapitalizm narzuca pracy fabrycznej. Kapitalizm powoduje — stwierdza Marks — że „duchowa i materialna działalność, zadowolenie i praca, produkcja i spożycie stają się rzeczami różnymi, przeciwstawnymi”. Ten antagonizm podziału pracy wnoszą kapitalizm, ale znosi go socjalizm. Tego nie chcą jednakże widzieć i rozumieć panowie agrarzyści.

Gospodarstwo chłopskie zna najbardziej prymitywny w zasadzie podział pracy: według pici i wieku. Gospodarz jest „specjalistą” w dziedzinie: orki, siewu, koszy, hodowli koni, bydła i trzody; on zarazem wykonuje wiele innych prac gospodarskich: przy remoncie wozu, uprząży, budynków, studni, wyrobie itd. itd. Kobieta pomaga mężowi we wielu pracach polnych, jej pieczy powierzony jest ogród, hodowla świń i ptactwa domowego, ona jest przadką i tkaczką itd.

Nie trzeba chyba uzasadniać, że ta wielostronność pracy nie świadczy o postępie, lecz zacofaniu gospodarstwa chłopskiego. Ta wielostronna praca nie jest i nie może być powiązana z nauką, z najnowszymi osiągnięciami agrotechniki, nauki weterynaryjnej, techniki prac rolnych. Chłop, który, jak głoszą agrarzyści, jest najwspanialszym specjalistą, staje bezradny przed zagadką dla niego sprawą — jakie nawozy sztuczne stosować do danej ziemi, jaki stosować najbardziej prawidłowy plodozmian, jakie użytkować najdoskonalsze ziarno siewne, jak przeciwdziałać epidemii zwierząt gospodarskich itd.

Doceniając wszystkie pozytywne cechy pracy indywidualnej, a szczególnie jej zapobiegliwość, dbałość, staranność, — należy zdać sobie sprawę z najprostszej w tej chwili prawdy, że droga postępu gospodarczego wiedzie przez różniczkowanie w podziale pracy i wiązanie jej w ten sposób z postępem technicznym. P. Buczkowski np. marzył o przeniesieniu przemysłu na wieś. Ale przecież nawet kolowrotek czy cep na kulowych łożyskach nie zastąpi współczesnej maszyny przedziałniczej, lub nowoczesnej młockarni.

Fundamenty postępu polskiej wsi zostały założone przez zniesienie wycisku wielokapitalistycznego i obszarowego. Na wieś przychodzi specjalista w wielu dziedzinach agrotechniki, od inżynierów do instruktorów rolnych; przychodzą nie tylko lekarze weterynarii, ale także specjaliści w dziedzinie hodowli; przychodzą mechanicy, traktorzyści, spółdzielcy, specjaliści w dziedzinie przetwórstwa artykułów rolniczych, specjaliści plantatorzy, itd. Droga uspołecznienia podziału pracy, powstawania nowych działów pracy i nowych zawodów, jakich nie znała i znać nie mogła drobna, zacofana, gnębiona przez kapitał i obszarowość gospodarka chłopska.

Wybrałem przykład wsi nie tylko dlatego, że piszę na łamach „Wsi”; sądzę, że jest on bardzo jaskrawy, bardzo charakterystyczny. Uwagi te odnoszą się jednakże w co najmniej równej mierze do wszystkich gałęzi gospodarstwa narodowego, — do rzemiosła, przemysłu drobnego, średniego i wielkiego. Dotyczy nawet techniki pracy biurowej, handlu, transportu itd. Jest to zasadnicze prawo postępu technicznego.

Niezbędnym warunkiem tego postępu jest podniesienie poziomu kulturalnego klasy robotniczej i chłopstwa, podniesienie szczególnie ich kulturalno-technicznego poziomu. Jeśli słowo „odrodzenie człowieka” ma mieć jakikolwiek realny sens, to na wykazanej wyżej drodze rozwojowej — ciągłego postępu technicznego i podnoszenia wiedzy ludzi pracy — widzimy, jak myśl marksistowska rysuje realne perspektywy odrodzenia człowieka, „samourzeczywistnienia jednostki”, jak powiada Marks: mało tego — ona mobilizuje klasę robotniczą, wszystkie siły postępu w mieście i na wsi dla urzeczywistnienia tej idei, walczą o jak najszybszą jej realizację. W walce tej odradza się człowiek przemieniając się.



Z pastwiska..



...Do szkoły.

Wiesław Jażdżyński

Warstwa chłopska

Daje się wreszcie zauważyć (po 3 latach) rozszerzenie problematyki wsi na szereg instytucji naukowych i pism literacko-naukowych, kształtujących opinię i świadomość narodową inteligencji polskiej (w większości jak dotąd—mieszczańskiej).

A. to:

1. Obok ośrodka „Wsi” coraz żywszy i bogatszy naukowo jest ośrodek badań ekonomicznych wsi przy K.C. PPR, który jak wiadomo ogłasza wyniki prac w „Nowych Drogach”.

2. Z pism naukowych chce rozszerzyć problematykę na zagadnienia wiejskie — „Myśl Współczesna”.

3. Ruszyły na front wiejski pisma społeczno-literackie — „Odrodzenie”, ostatnio i „Kuźnica”.

Pragniemy w zbiorowym artykule podsumować zagadnienie wsi przedstawione w szeregu pism w ostatnich dwu miesiącach.

* * *

Sytuację warstwy chłopskiej za ostatnie dwudziestolecie przedstawił syntetycznie na konferencji wiciowej w Dębowej Górze — prof. Jan Szczepański („Młoda Myśl Ludowa” Nr 3—4).

Utrzymując się zasadniczo na gruncie analizy historycznej kreślił prof. J. Szczepański problem według następującej typologii:

1. Liczebności ludności wiejskiej i jej poziomu ekonomicznego
2. Struktury wewnętrznej warstwy chłopskiej
3. Udziału w życiu politycznym
4. Socjologicznej charakterystyki wsi i instytucji wiejskich.

Trzeba dodać, że wszystkie te zagadnienia rozwinęła w szczegółowych studiach „Wieś”. W ciągu minionych 3 lat staraliśmy się dać zagadnieniu warstwy chłopskiej podbudowę historyczną, dla stosunków politycznych, społeczno-gospodarczych i kulturalnych, sięgając do połowy XIX wieku.

W pracy prof. J. Szczepańskiego zasługuje na szczególną uwagę kilka zagadnień, ujawniających zupełną zgodność z badaniami prowadzonymi przez „Wieś”.

W życiu warstwy chłopskiej widzenie kapitalizmu było znacznie mniej ostre niż w klasie robotniczej. Może dlatego, że niektóre zjawiska związane z kapitalizmem, jak np. stosunek wyzysku, czy proces koncentracji kapitału występowały na wsi w daleko dyskretniejszej formie niż to było w przemyśle. Poza tym odcinanie się ruchu ludowego od robotniczego, od marksizmu, odbierało auto-

matycznie wsi możliwość naukowego poznania mechanizmu kapitalistycznej gospodarki.

Stąd też, co już zupełnie wyraźnie podkreśla prof. Szczepański, w ideologii wiciowej położono główny nacisk na walkę z pogardą kulturową chłopca, a nie na walkę o lepszą sytuację gospodarczą i prawa polityczne. „Stąd też — czytamy w omawianej pracy — motyw godności człowieka w chłopie przewija się jako główna oś krystalizacyjna ideologii młodzieżowej”.

Ruch wiciowy z lat międzywojennych miał wprowadzić chłopca w „słoneczność myśli”, „uczłowieczyć” go, ale nie przez próby osiągnięcia wysokiego poziomu życia gospodarczego i uzyskania pełni praw politycznych. Walka toczyła się „na płaszczyźnie ducha” i mogła być, zdaniem wiciarzy, wygrana jakimś romantycznym sposobem — potęgą ducha, czystością słonecznych myśli, a nie — jak pisze prof. Szczepański — „grą taktyczną i operowaniem elementami siły i realnych warunków rzeczywistości”.

Wreszcie trzecie zagadnienie wysunięte przez autora omawianej pracy — rozdrożenie wciowej w pierwszych latach po uzyskaniu niepodległości. Wynika ono z dwu poprzednich.

Zadumane i szukające „w głębi duszy człowieczeństwa” „Wici” przechodziły z trudem do pracy społeczno-gospodarczej i politycznej w nowym ustroju. Stara ideologia nie mieściła się w nowym roboczym planie narodu. Zaszła potrzeba wypracowania nowego programu. „U podstaw nowego programu „Wici” — pisze prof. Szczepański — należałoby zatem położyć jako założenie naczelne, analizę położenia obecnego warstwy chłopskiej w Polsce”.

Oczywiście, że tak. Należy tylko dodać, że sprawa chłopska staje się obecnie własnością nie tylko samych „Wici”, ale całej młodzieży narodu, tworzącej przecież jedną organizację. W ramach tej organizacji, wiciowe pokolenie młodych chłopów uzyskuje i może zrealizować wielką szansę historyczną, zając pozycję jakiejś „chłopczyzny” nigdy nie zajmował. Są to — powtarzam za prof. Szczepańskim: „1) Udział w tworzeniu narodowego programu gospodarczego i jego realizacji, 2) Aktywizacja wsi przez wprowadzenie jej bez reszty w nurt życia narodowego i do ogólnych zagadnień i prądów kultury europejskiej. 3) Rozszerzenie zadań wychowawczych na wychowanie gospodarcze i polityczne”.

Dyzma Gaiaj

Możliwości produkcyjne

W sprawach gospodarczych wsi ukazały się w publicystyce polskiej trzy interesujące artykuły: Stefana Ignara „Przebudowa gospodarcza wsi” („Wieś” nr. 10 (139), A. Brzozy — „Przeciwko kompleksowi niższości w rolnictwie”, (Nowe Drogi, nr. 8) i L. Pola — „Wieś rozpoczyna współzawodnictwo” (Nowe Drogi, nr. 8). Dotyczą one zagadnienia produkcji lub organizacji produkcji w rolnictwie.

I.

A. Brzozie za temat rozprawy posłużyło uznane i uświęcone w burżuazyjnej ekonomii groźne brzmienie „prawo zmniejszającej się wydajności gleby”. To rzekome prawo przyrodnicze opiera się na tzw. prawie minimum sformułowanym przez twórcę chemii rolnej — Liebiga. W ostatecznej jego modyfikacji (dokonanej przez kontynuatorów Liebiga) prawo to brzmi: „największy plon jest osiągalny przy średniej (optymalnej) ilości czynnika. Przy najmniejszej (minimalnej) i największej (maksymalnej) ilości czynnika plon jest nieosiągalny (równy zeru). Innymi słowy, jeżeli czynnik znajdujący się w minimum (np. nawóz azotowy) będziemy powiększali, to plony do pewnego punktu będą wzrastać, przy czym wzrost ten będzie coraz powolniejszy, a po przekroczeniu punktu optymalnego, dalsze dodawanie danego czynnika nie tylko nie spowoduje wzrostu plonu, ale urodzaj zacznie spadać, by przy maksymalnej ilości czynnika osiągnąć zero. W ten sposób wykres stosunku plonu przyjmie formę paraboli”.

Ekonomia okresu kapitalistycznego natychmiast znalazła dla tej tezy pożyteczne zastosowanie. Postawiła je mianowicie jako przyczynę nędzy mas pracujących, gdyż nie ustrój ówczesny (zagadnienie „nadprodukcji”), a święte prawo przyrody jest hamulcem rozwoju produkcji rolnej. J. S. Mill pisał: „Skapstwo przyrody, a nie niesprawiedliwość społeczna stanowi przyczynę cierpienia, jakie naród przy przeludnieniu przeżywać musi”.

Brzoza łatwo wykazuje błędy zwolenników tego prawa. Polegają one mianowicie na tym, że w doświadczeniach brano pod uwagę wpływ jednego tylko czynnika (np. wody — Helrigel), a nie pamiętano, że „wzrost i rozwój rośliny w każdym momencie zależy od całego szeregu czynników wzajemnie się warunkujących”. Późniejsze doświadczenia przeprowadzane szczególnie w Związku Radzieckim (Williams) wykazały, że im więcej czynników wpływających na plon rośliny poddać jednoczesnemu badaniu, im bardziej zostaje uwzględniona ich wzajemna interakcja, tym bardziej złowieusza krzywa spadającej urodzajności prostuje się, a plony zaczynają wzrastać nie tylko wprost ale i więcej niż proporcjonalnie w stosunku do każdego następnego dodatku czynnika. Prawo zmniejszającej się wydajności przekształca się w prawo zwiększającej się wydajności, w prawo postępu rolniczego, limitowanego jedynie zasięgiem wiedzy”.

Pó analizie funkcji ekonomiczno-politycznej spełnianej w okresie kapitalistycznym przez to fatalistyczne prawo minimum, Brzoza dochodzi do słusznego wniosku, że „nie wieczne prawa”, lecz **stosunki społeczne ustroju kapitalistycznego hamują postęp rolnictwa**. I dlatego masy pracujące miast i wsi, zamiast „walczyć z wiatrakami” tzn. z rzekomym prawem zmniejszającego się przychodu z ziemi wybrały walkę z rzeczywistym wrogiem postępu produkcji — ustrojem kapitalistycznym”. Przez stosunki społeczne, hamujące w tym okresie produkcję tak rolną, jak zresztą i przemysłową, rozumieć należy „bezpłanową formę produkcji, wynikającą z podstawowych sprzeczności kapitalizmu — sprzeczności między społecznym charakterem produkcji a indywidualnym przywłaszczeniem”.

II.

Konsekwencją rozprawy A. Brzozy jest optymizm w sprawach produkcji rolnej. Notujemy go w artykule **Ludwika Pola — „Wieś rozpoczyna współzawodnictwo”**.

Minister Minc na zjeździe Z.S.Ch. stwierdził, że rolnictwo nasze w stosunku do potrzeb naszej gospodarki **rozwija się zbyt wolno**. Gdyby dysproporcja rozwoju produkcji rolnej i przemysłowej trwała nadal, groziłaby nam niebezpieczne konsekwencje. Jakże?

1. Nienadążanie bazy surowcowej w stosunku do dalszego, szybkiego rozwoju przemysłu;

2. brak żywności dla wzrastającej wciąż ilości robotników przemysłowych;

3. mała pojemność rynku wiejskiego wobec wzmagającego się potoku towarów przemysłowych;

4. ujemne oddziaływanie na bilans handlowy i płatniczy.

„Stąd wysuwa się — pisze Pol — przed rolnictwem, jako centralne zagadnienie — walka o **szybkie tempo rozwoju produkcji rolnej, walka o większy plon z ha, o wyższą wydajność produkcji zwierzęcej, walka o samowystarczalność aprowizacyjną**”.

Walką tą jest rozpoczęte po Ogólnokrajowym Zjeździe robotników i pracowników państwowych gospodarstw rolnych Ministerstwa Roln. i R. R. (1947 r.) wszechstronne pojęte współzawodnictwo. Poszukując bowiem przyczyn obecnego niskiego stanu produkcji rolnej, dochodzimy do wniosku, że wina leży nie w niedostatecznej wielkości zasianych obszarów, a w **niedostatecznej wydajności z ha**, a ponieważ tragiczne prawo „o skapstwie przyrody” już chłopów nie przeraża, więc przystępują do planowej akcji współzawodnictwa w walce o porządkowanie sobie gleby.

Pol zwraca uwagę na elementy sprzyjające i przeszkadzające współzawodnictwu, oraz na dziedziny i formy współzawodnictwa.

Przeszkadzają tradycyjne nawyki gospodarki liberalnej. Sprzyja natomiast świadoma propaganda intensywnego gospodarki planowej i ambicja wyróżniania się poszczególnych jednostek, gromad, gmin itd.

Zdając sobie sprawę z rachunku, jaki wypada przy ocenie podstawowych środków produkcji (siła pociągowa, nawożenie gleby, pomoc inżynierska, ośrodki maszynowe), pracownicy agronomii społecznej na zjazdach rolnych stwierdzili, że nakazem chwili jest: **1. maksymalna mobilizacja własnych środków terenowych i zasobów lokalnych, 2. maksymalne wykorzystanie w ramach ustawy o pomocy sąsiedzkiej, (kapitałnego oręża biedoty wiejskiej), siły pociągowej, narzędzi i maszyn rolniczych, w szerokim froncie pomocy mała — i średniorolnym gospodarstwom**.

To jest punkt wyjścia wielkiej i śmiałej ofensywy chłopów na stare, dostojne prawo o złośliwości gleby, która była dotychczas w naświetleniu wielu kapitalistycznych naukowców, regulatorem stosunków międzyludzkich.

III.

Sprawie organizacji produkcji rolnej St. Ignar poświęca artykuł pt. „Przebudowa gospodarcza wsi”. („Wieś”, nr. 10 (139)).

W artykule tym autor konstruuje podstawy przebudowy społeczno-gospodarczego życia wsi w ramach dokonanych i dokonujących się reform współczesnej Polski. Oto tezy owej konstrukcji:

1. Zmiana ustroju gospodarczego w Polsce, a szczególnie nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna w połączeniu z planową gospodarką — wyznacza kierunek rozwojowy wsi.

2. W związku z potrzebą gospodarki planowej staje się nieaktualny system gospodarowania, polegający na całkowitej i wyłącznej indywidualnej dyspozycji właściciela gospodarstwa w zakresie produkcji.

3. Rolnictwo znalazło się w konieczności szarmonizowania z gospodarką planową w państwie i wykonywania przewidzianych w planie zadań.

4. Droga do uzgodnienia współpracy z państwem w dziedzinie gospodarki planowej prowadzi poprzez nowoczesną organizację zawodowo-gospodarczą, jaką jest Związek Samopomocy Chłopskiej oraz przez integralną spółdzielczość rolniczą, realizowaną przez spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej.

5. Spółdzielczość rolnicza i organizacja zawodowo-gospodarcza winny mieć oparcie polityczne w SL-u i innych partiach bloku, aby sprawy gospodarcze wsi były dostatecznie reprezentowane wobec państwa.

6. Organizacje zawodowe i gospodarcze wsi, jak Związek Samopomocy Chłopskiej i spółdzielczość rolnicza winny mieć bazę społeczno-ideową i teren rekrutacji dostatecznie przygotowanych sił w organizacjach młodzieży, a więc w ZMW RP „Wici” i innych ideologicznych organizacjach młodzieży oraz PRW.

7. Istotnym problemem jest przebudowa społeczno-gospodarcza wsi, która będzie polegać na uposażeniu narzędzi produkcji, co jest równoważne z możliwością unowocześnienia produkcji rolnej. Nowe środki produkcji w postaci narzędzi, maszyn i instalacji są możliwe do zastosowania tylko sposobem społecznym, ponieważ ich istota techniczna tego wymaga (elektryfikacja, traktory, większe i wydajniejsze maszyny).

Jest to, jak widać, projekt ustroju gospodarczego, w którym produkcja rolna odbywać się może planowo, społecznie, bez falstw z okresu kapitalizmu, a rozwój jej napędzać nas dużym optymizmem.

Te trzy omawiane artykuły stanowią niejako całość. Widzimy nieograniczone możliwości produkcyjne rozumiane przyrodniczo, widzimy bodźce podniecające produkcję rolną oraz formy i powiązania tej gałęzi produkcyjnej z innymi.

N A R Ó D

Piotr Chmura

Upowszechnienie kultury

W TEJ chwili na pierwszym froncie upowszechnienia kultury znajduje się książka. Idzie o dobór biblioteczki, o formy propagandy i ludzi, którzy ją po wsiach przeprowadzą, o organizatorów instytucji czytelniczych i funduszy spółdzielczych bibliotek.

We wszystkich tych sprawach trzeba odkryć opory, jakie akcje czekają i odkryć środki i narzędzia, jakie pomogą opory przezwyciężyć i czytelnicstwo upowszechnić.

Mieczysław Grad, pisząc o klasycznym wychowaniu wiciowym (z lat 1929 — 38) wskazał na współistnienie w nim elementów ideologii i techniki wychowawczej, należących do trzech etapów rozwoju społecznego: 1) typu przedkapitałistycznego, 2) liberalno-kapitałistycznego, i 3) późno-kapitałistycznego (z pogranicza kapitalizmu i socjalizmu).

Krytyka wychowania wiciowego, jaką prowadziła „Wies” przez kilka lat (1945 — 48, a w szczególności artykuły Króla i Kamińskiej) odsłoniła kolejno dwa pierwsze etapy.

Typologia Grada ma więc mocne oparcie w szczegółowych studiach „Wsi”. Da się z niej wyprowadzić kilka wniosków ważnych dla akcji upowszechniania czytelnicstwa na wsi.

I.

1) Instytucjonalne zorganizowanie wsi typu przedkapitałistycznego całkowicie uchyla możliwość masowego wdarcia się na wieś książką. A ten typ reprezentuje wzorowa wieś parafialna; w olbrzymiej ilości wsi, formacja ta interferuje z historycznymi późniejszymi. Ogranicza ona stosunki międzyludzkie do kontaktów osobistych, „twarzą w twarz”, nie wypuszcza poza wieś sąsiedzką, akcentuje moralność jednostkową nie udostępniając takiego wyposażenia intelektualno-technicznego, które by pozwoliło na włączenie odpowiedzialności moralnej jednostki w historyczną odpowiedzialność zbiorową klasy i narodu i umożliwiło jej (przez wiedzę i nowe formy organizacji) tę współzależność zrealizować. Mamy tu w miejsce programów personalne autorytety.

2) Książka — poza modlitewnikiem, czy „Oredernikiem”, poza kalendarzem (ureligijnionym) i poza ubocznym produktem tej formacji kulturowej — literaturą straganową (choćby w nowoczesnym wydaniu „powieści co tydzień”) nie ma do tego typu wsi dostępu. Jeśli to wieś mieszana już socjologicznie, o tyle — nie ma dostępu.

3) Odliczyć tu trzeba kobiety, najmocniej „spiecznione” w kulturze parafialnej. Odliczyć trzeba plebana, jako formalnie posiadającego autorytet w tej właśnie kulturze: dlatego nie do użycia w propagandzie książek nowej biblioteczki.

Mało, trzeba się liczyć z oporami z tych dwóch źródeł.

II.

Anna Kamińska pisała we „Wsi” o przodownikach kultury (z lat 1929 — 38) wskazała, jakich wytwarzała kapitalistyczna formacja na wsi. Dwie sprawy w szczególności zwracają tu uwagę.

1) Sięganie po wyższą kulturę (książkę, obraz, umeblowanie, strój) według wskazań estetyki drobnomieszczańskiej

2) Uzyskiwanie takiego wyróżnienia osobistego (przez osiągnięcie umiejętności artystycznych, czy posiadanie „towaru” artystycznego) jakie pogłębia różnice społeczne na wsi.

a) Wantula (ur. w r. 1877) nie przyjął rektorstwa, bał się, że przestanie być chłopem, nie chciał wobec wsi uchodzić za „panka”. Ale jego mania bibliofilską (zabytki staropolskie i apokalipsy) wyłączyła go kulturowo ze wsi. Czeczono go w okolicy, jako tajemniczą, uczoną głowę na równi z księdzem również posiadającym tajemnice ewangelii, ludowi nieznane. Bibliofilstwo Wantuli było wkroczeniem w naukę zgodnym z drobnomieszczańskim wyznaczeniem jej zadań o erudycyjnym charakterze.

b) Chępiński, który zostaje organista, nauczycielem, wreszcie dependentem w Kołomyży, upowszechnia, jako działacz oświatowo-ludowy, idee solidaryzmu, indywidualnych cnót i wartości człowieka. Przybliża je wsi, czerpiąc z literatury ludomańskiej inteligencji. Sens i oparcie miały one w tej części wsi, jaka przez Sólki i Kasy Stefczyka wchodziła w kapitalizm pomyślnie. Jej wyróżnienie gospodarcze umacniało kulturalne wyposażenie, potwierdzając słusność zabiegów drobnokapitałistycznych, odcinających ją od wsi biedniejszej i proletaryzującej się.

c) Jeszcze jeden przykład Kamińskiej. — Wł. Front, malarz z bożej łaski, realista w stylu landszaftów spod Saskiego Ogrodu. Nie tylko w malarstwie przyjął styl drobnomieszczańskiej kultury. I w jego, pracowni „krzesła naby przeniesione z kancelarii parafialnej, gałązki palmy, ołtarzyk domowy i dewocjonalia”. Na niedawno reproduktowanej fotografii Zaraniarzy z r. 1911 oglądaliśmy akcesoria tego samego stylu drobnomieszczańskiego w jego późniejszym wydaniu (z przedmieścia wielkiego miasta). Tużurki, wysokie kołnierzyki, dewizki na kamizelkach, na drugim planie pianino, flakon i gipsowa figurka Afrodyty.

3) WNIOSK. I ta tradycja nie sprzyja upowszechnieniu projektowanej biblioteczki. Dobrą bazą materialną jest chłopstwo bogate, ale złą kulturalnie.

Izoluje ono, nie uspołecznia wytworów kultury, jakimi się ozdabia; dobiera taki ich rodzaj, jaki intelektualnie i estetycznie potwierdza i umacnia jego gospodarczą inicjatywę prywatną.

III.

Przeciwko tym tradycjom działa w niemałym stopniu, to co J. A. Król w artykule „W promieniu 50 wsi” nazwał próżnią historyczną. Przedkapitałistyczna i drobnokapitałistyczna formacja wsi wyrażają tak wielkie zapóźnienie, że obie trwają tylko dlatego, że nie zostały zaatakowane, że im planowo niczego nie przeciwstawiono. Wystarczy przypomnieć politykę sanacji, utwierdzającą ten stan i fałszywą obronę „słowiańską” i „agrarystyczną” Wici przed wojną, aby zrozumieć wyczerpanie się ideologiczne i rzeczowe tego dna historycznego Polski.

1) W ostatnim numerze „Wsi” Piotr Chmura zwracał uwagę na to, że czytelnicstwo na wsi winno być zorganizowane: a) na zasadzie miejscowych spółdzielni bibliotecznych b) w oparciu o lokalne tradycje społecznych prac i ruchów.

2) Rozszerzanie bibliotek musi iść etapami. Najpierw trafić na te wsie, gdzie skupienie nowych instytucji jest najłatwiejsze: Spółdzielnia Gminna Z.S.Ch., P.R.W., szkoła 7 oddz., Uniw. Lud., partie, mocne koło młodzieżowe.

3) Ważna jest sprawa wychowania nowych przodowników kultury na wsi. Tu nie mała usługę oddać może „Służba Polsce”, Korespondencyjne Kursy Spółdzielcze, z których — o czym napisał Jazdyński — w tym roku mieć będziemy już 9000 abiturientów.

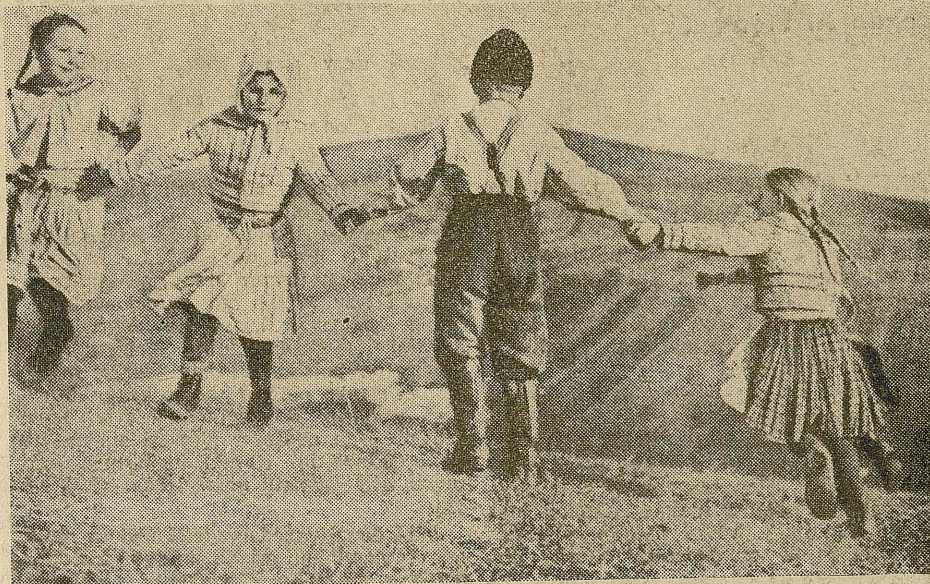
Powiększenie miejscowej inteligencji chłopskiej — technicznej i humanistycznej — winno być ujęte rejestralnie przez ośrodek, który pragnie wybrane książki wielu wydawnictw, spopularyzować na wsi. Każda formacja społeczna — kulturalna ma swoich przodowników, swoich wzorowych popularyzatorów. Nie są oni dziś gotowi, stają się. I stawać się będą o tyle szybciej i pełniej o ile im pomożemy. Oni stanowią pierwszy front jaki bodaj obdarzyć nam trzeba nowymi bibliotekami. Sygnalizowała go A. Kamińska, pisząc o korespondentach wiejskich, przełamujących opinię publiczną typu parafialnego, na rzecz opinii publicznej o zasięgu i znaczeniu narodowym.

4) W projekcie Króla („W promieniu 50 wsi”) na akcję tę (i szerzej nawet pomyślaną) rzucić można 150.000 młodzieży licealnej i akademickiej w trzech okresach na rok (Boże Narodzenie, Wielkanoc, wakacje). Tak zw. „naucze o Polsce współczesnej i świecie” — wyraźnie brakuje zaplecza, jakim byłoby praktyczne zastosowanie przez młodzież tej wiedzy. Nauka o Polsce współczesnej wyparowuje, uczy bowiem o funkcji społecznej w jakiej należy w przyszłości zawód uprawiać, nie uczy, jak do tej funkcji dochodzić, jak włożyć się w nią już podczas studiów. Dlatego i sam przedmiot nabrałby atrakcyjności i stałby się użyteczny, gdyby uzupełniał go masowa praktyka młodzieży w ekspedycjach na wsie i miasteczka (bez kosztów — kierunek bowiem — w rodzinie strony).

Akcję tę trzeba zorganizować!

5) Początek jej tkwi a) w analizie socjologicznej stanu kulturalnego i instytucjonalnego polskich wsi i miasteczek b) w programie zagadnień i spraw, z jakim młodzież pójdzie w teren c) w skoordynowaniu akcji czytelniczo-bibliotecznej z tymi masowymi wyprawami.

6) Dlatego zagadnienie upowszechnienia czytelnicstwa cofnąć należy jeszcze dalej, aż do uzgodnienia naukowych ocen na wszystkich dziedzin życia kultury. Ostatni artykuł D. Gałajki o prof. Styśiu we „Wsi”, czy Brzozy (Nowe Drogi) o prof. Sandlu, czy wreszcie analiza biblioteczki „Portrety Literackie” (w tym numerze) L. Sobierajskiego, ostrzegają przed popularyzacją kiedy to, co ma być popularyzowane, stanowi wciąż jeszcze spłót sprzecznych poglądów.



Najmłodsi

Maciej Koliba

Struktura społeczna wsi

Jerzy Tepicht w artykule: „Badania próbne struktury wsi polskiej” (Nowe Drogi Nr 8), poddaje pierwszej analizie ankietę, przeprowadzoną w około stu wsiach z różnych okolic Polski przez Departament Ekonomiczny Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych. Inicjatorem ankiety jest Biuro Studiów Wydziału Rolnego KC PPR. zasadniczym celem ankiety jest zebranie materiału, z którego można by odczytać, jaki jest kierunek rozwojowy wsi polskiej, czy zgodnie z założeniami demokracji ludowej, idzie on po linii „wzrostu ilości i mocy niekapitałistycznych, rodzinnych gospodarstw średniorolnych”, czy przeciwnie daje się w nim zaobserwować proces „codziennego rodzenia się kapitalizmu”. Jest to sprawa najpilniejsza do ustalenia; pozostawienie w socjalistycznym ustroju drobnej własności rolnej, musi pociągnąć za sobą czujną obserwację ze strony państwa, by na tym odcinku nie odżywały formy kapitalistycznej gospodarki. Dokładny obraz dzisiejszej wsi jest według Tepichta trudny do uchwycenia; żeby go dobrze wypunktować, należy wciągnąć do rozważań cały szereg elementów. O tym, czy gospodarki chłopskie stają się kapitalistyczne nie decyduje tylko to, że chłop jest właścicielem określonych środków produkcji lub, że posługuje się nadto pracą najemną, ale także i to, że może on być członkiem „kapitałistycznego przedsiębiorstwa wynajmu maszyn”, że jego usługi w ramach pomocy sąsiedzkiej mogą przeradzać się w wysysk chłopca nie posiadającego konia, że wreszcie reprezentuje on niekiedy kapitał handlowo-spekulacyjny, który może na terenie wsi konkurować z handlem państwowym — spółdzielczym.

Wyrobienie sobie właściwego sądu o sytuacji wsi, a co za tym idzie i możliwości pokierowania jej rozwojem, uzależnione jest od dokładnego zbadania jej struktury społecznej. Takie zadanie postawili sobie inicjatorzy ankiety. Przede wszystkim, zbadać wieś pod względem jej rozwarstwienia społecznego, uchwycić jakie w niej grupy społeczne się wyodrębniają. Przeprowadzona w 98 wsiach ankieta jest tu robotą wstępną, mającą wypracować metodę dla badań masowych, zleconych GUS-owi.

Badania wsi, jako odrębnych całości, powtarzane na dziesiątkach przykładów pozwolą metodą naukową — sprawdzalną wykryć te wszystkie czynniki, które wieś hamują w jej

rozwoju. Dopomoże w tym ostre uwyraźnienie w obrazie wsi grup społecznych. Zaszeregowania do grup społecznych, ankietę dokonuje na podstawie takich kryteriów: „obszaru gruntowego, stosunków pracy, stopnia umaszynowania (i wynajmu maszyn), stopnia zaopatrzenia w konie (i wynajmu koni) oraz w inny inwentarz żywy”.

Jerzy Tepicht demonstruje nam metodę badań na wsi poznańskiej Parkowo, z powiatu chornickiego. Wyniki analizy są bardzo intrygujące. Obserwujemy tu najciślej współzależność takich czynników, jak obszar, stosunki pracy, umaszynowanie. Gospodarstwa średniorolne od 7 do 10 ha, stanowią najliczniejszą grupę wsi Parkowo. Ankieta pokazuje jedną z najważniejszych spraw dla ogólnej gospodarki narodowej mianowicie stopień utowarowienia poszczególnych typów gospodarstw. Wniosków, jak ostrzega autor artykułu, nie można tu pochopnie wyciągać. Prawdziwość danych będzie można potwierdzić dopiero przez zestawienie z wynikami innych wsi. Utowarowienie gospodarstw będzie ulegało dużym zmianom w miarę specjalizacji i rejonizacji.

Przyjrzyjmy się teraz, jakie elementy stwarzają podstawę do wydzielenia grup społecznych we wsi Parkowo. W naszej prowizorycznej, na Tepichcie opierającej się, tabelce nie uwidaczniamy grupy pierwszej — 56 rodzin mieszkających na wsi. Są to bezrolni (40 rodzin) i działkowicze (16 rodzin). Na grupę tę składają się ludzie utrzymujący się z dochodu spoza wsi (kolejarze, pracownicy leśni, robotnik fabryczny), pracownicy umysłowi, oddający usługi wsi (nauczyciele, pracownicy ZSCh), rzemieślnicy wiejscy, robotnicy rolni, przedsiębiorcy kapitalistyczni bez ziemi (właściciel sklepu, przedsiębiorca wynajmu maszyn). W tabeli uwzględniamy 5 grup, wiążących swój dochód z posiadaniem ziemi, od drobnorolnych do grubych gospodarzy.

Ilość inwentarza żywego podajemy przeciętnie na gospodarstwo; umaszynowanie podajemy wg. klasyfikacji Tepichta, który wyodrębnia 5 klas.

Utowarowienie podajemy na podstawie sprzedawanych z ogólnego plonu: żyta, pszenicy, owsa, jęczmienia oraz ziemniaków. Nie włączona tu jest gospodarka mleczna, gospodarka drobiem oraz sprzedaż trzody chlewnej.

Grupa	Ilość gosp.	Stosunki pracy			Inwentarz żywy			Umaszynowanie	Źródła utrzymania		Przebieg utowarowienia
		gospodarswo samodzielnne	oparte na pracy najemnej	wynajmujące ludzi, konie i narzędzia	konie	kozy	świnie		własna gospodarka	wynajem ludzi, koni, narzędzi	
II (od 0,5 do 3,5 ha)	16	donajmują konie i narzędzia	—	—	brak	—	—	brak	własna gospodarka	wynajmują siebie do pracy, rzemiosło	—
III (3,5 do 7 ha)	15	samodzielnne	—	—	1	1,25	1,46	II klasa	własna gospodarka	—	80%
IV (od 7 do 10 ha)	39	samodzielnne	—	wynajem koni	1,25	2,26	1,72	53% do IV kl. 47% do II i III kl.	własna gospodarka	wynajem koni	10%
V (od 10 do 19 ha)	34	—	oparte w części na pracy najemnej	wynajem koni i narzędzi	2	3,57	2,70	IV klasa	własna gospodarka	wynajem koni i narzędzi	13%
VI (od 19 do 26 ha)	12	—	oparte w 50% na pracy najemnej	wynajem koni i narzędzi	2,3	6,25	4,33	IV klasa	własna gospodarka	wynajem koni i narzędzi	20%

Artykuł Tepichta sygnalizuje nam bardzo cenną akcję badawczą. Jej wyniki pozwolą państwu zorientować się, jaką na odcinku rolnym należy poprowadzić politykę, by rozwój wsi dokonywał się prawidłowo, zgodnie z założeniami nowego ustroju. Tepicht kończy swą analizę stwierdzeniem, że „walka o kierunek rozwoju wsi trwa”. Zadaniem państwa jest jak najdalej idącą pomoc gospodarstwu słabszym „rodzinnym”, które nie mają

w swojej strukturze żadnego z kapitalistycznych elementów. Z punktu widzenia ustroju demokracji ludowej, proces rozwoju wsi winien iść w kierunku jej „średniaczenia”. Średnie gospodarstwa rolne (od 7 do 10 ha) w oparciu o spółdzielcze ośrodki maszynowe, w oparciu o spółdzielcze przetwórstwo, zorganizowane w związkach branżowych, mogące szerzej korzystać z kredytów, będą najzdrowszym typem gospodarstw, mieszczących się dobrze w ramach nowego ustroju.

* Młoda Myśl Ludowa Nr 3—4 z br.

** „Wies” Nr 45 (124), 49—50 (128—129).

* „Wies” Nr. 17 (146).

Szczepan A. Pieniążek

DLACZEGO NIE WRÓCILI?

STANLEY SHULSKY miał dobrą głowę do interesu. Jego polska restauracja na 43-ciej ulicy tuż przy Broadway'u miała ustaloną sławę. Schodziła się w niej tłumnie polska emigracja. Nawet rdzenni Amerykanie zaglądali tu często na egzotyczne potrawy, przygotowywane pod czujnym okiem Mrs. Shulsky, szczerze wypełniającej bogaty i piękny strój krakowski.

W roku 1942 Mr. Shulsky kupił za grosze stary i zbankrutowany pensjonat w górach Catskills o cztery godziny jazdy na północ od New Yorku. Dziwili się znajomi nierozważnemu postępkowi Stanleya. Prawda że pensjonat znajdował się w pięknej okolicy, ale ruchu tam nie było, jakżeż można było marzyć o tym, że da on skromny choćby dochód?

Mr. Shulsky pięknie odnowił okazałą burdowlę i zajął się reklamą. Do gazet ogłoszeń nie dawał. W przeciagu tygodnia odwiedził redakcje nowych polskich pism emigracyjnych, oraz ważniejsze skupiska braci uciekinierskiej w New Yorku i Washingtonie. Jako rezultat na każdy miesiąc letniego sezonu miał zapewnionych przynajmniej dwóch byłych ministrów-pułkowników, jednego literata i jednego aktora. Najpierw, w kółku jego znajomych, potem w coraz to szerszych kołach Polonii rozeszła się wieść o otwarciu pensjonatu „Pulaski-Kosciusko” w Hunter, N. Y. i o wybitnych osobistościach, które zamierzają tam spędzić wakacje.

Odtąd już na każdy sezon wszystkie miejsca w pensjonacie wykupione były na trzy miesiące naprzód. Mr. Shulsky zyskał sławę mecenasa literatury i sztuki, bo hojnie szałował zapewnieniem bezpłatnego pobytu w pensjonacie tym, którzy „sławę imienia polskiego szerzyli na obczyźnie”. Mrs. Shulsky skrzętnie zbierała zielone banknoty od restauratorów, księży, wędliniarzy, adwokatów, lekarzy i właścicieli domów pogrzebowych, dla których taka rzecz, jak cena małego pokoiku niewielką stanowiła różnicę wobec faktu, że będą mieli możliwość rozinnowy z samym panem ministrem, największym poetą polskim, albo z najslawniejszym śpiewakiem.

We wrześniu 1945 roku pokój panował już na obu półkulach, ale wracać nie było można, bo statki pasażerskie nie kursowały jeszcze między New Yorkiem i Gdynią. Te osiem lat, które przeżyliśmy w Ameryce, spędziliśmy w małych miasteczkach uniwersyteckich. Ze starą Polonią utrzymywaliśmy bardzo luźne stosunki, bo jej w tych okolicach nie było, a z nową emigracją, uciekinierami wojennymi, nie mieliśmy możliwości się zetknąć. O tym, co myślał i czuł, dowiadaliśmy się z nowojorskiego „Tygodnika Polskiego”. Był to organ „Nieziomnych”, co pod nową „zabór rosyjski” nie chcieli wracać. Zapragnęliśmy poznać tych ludzi przed odjazdem, aby móc o nich coś powiedzieć po powrocie, bo wiedzieliśmy, że napewno będą nas o to pytać. Wrzesień jest najpiękniejszą porą roku w tej części Stanów Zjednoczonych. Za protekcją znajomych zdobyliśmy na tydzień pokój w pensjonacie „Pulaski-Kosciusko”.

Przyjechalśmy już na wieczór. Następnego dnia była niedziela. Po paru godzinach byliśmy już zżyłymi członkami całego towarzystwa. Tak to się zwykle dzieje, gdy się Polacy zjeżdżają za granicę. Nie ma sekretów, języki się rozwiązują, można ludzi poznać szybko i łatwo. Nie przeszkadzało nam nawet i to, że wieści zdążyła się już roznieść o naszych przygotowaniach do powrotu.

Naszym sąsiadem był niestary jeszcze poeta. Choć na poezji nie się nie znam, zawsze coś mnie do niej ciągnęło. Dobry wiersz wolałem od najlepszej powieści. Korczyńskiego uwielbiałem od dzieciństwa. Teraz po raz pierwszy zetknąłem się z nim osobiście. Wypoczywał tu miesiąc, miał zostać do końca września. Potem wróci do swej pracy. Gdzie pracuje? Nie dostałem jasnej odpowiedzi. Dopiero później powiedziano mi, że resztę roku spędza na farmie u sławnego muzyka polskiego piastując stanowisko przyjaciela z lat dziecińczych.

Byłem najmłodszy w całym gronie. Najbliższy mi wiekiem Milczyński, absolwent jednej ze szkół technicznych, pozostawił żonę i dwoje dzieci w Warszawie. Miewał już od nich listy. Wysoki, szczupły, przystojny, z twarzy jego można było wyczytać podwójną tragedię, jaką przeżywał, narodową i osobistą. O obu długo i chętnie opowiadał.

Wrócić nie może. „Mnie by przecież powiedział pierwszy go Matuszewskim” mówił z godnością. Wprawdzie od bardzo wielu osób słyszałem zapewnienie, że im się to pierwsze miejsce na szubienicy po Matuszewskim należy, ale Milczyński sądził, że on tylko miał do tego prawo, bo pracował jako osobisty sekretarz u jednego z sanacyjnych pułkowników.

Zawsze zdawało mi się, że dla poznania człowieka warto dowiedzieć się z czego żyje. Milczyński miał swoją pensję sekretarza, a oprócz tego zarządzał, wprawdzie na odległość, dużą farmą pewnej pani, której mąż już od dwóch lat siedział w niewoli japońskiej. Sama właścicielka mieszkała w New Yorku, Milczyński odnajmował u niej niewielkie mieszkanie.

Pietrzyński reprezentował naukę polską na ziemi Washingtona. Był przecież profesorem medycyny na jednym z uniwersytetów w New Yorku. Jego żona, doktor filozofii, zyskała sobie uznanie jako wytrawny krytyk i historyk sztuki. Rozmarami, powagą i namaszczeniem bardziej wyglądała na profesora, niż jej mąż, niewielki, szczupłutki człowieczek lat około 40.

Pietrzyński dopiero od 12 udzielali się towarzystwu. Pani doktor już o ósmej rano siedziała przy dużym stole pod klonem i rozkładała trzy teczki. Na jednej widniał duży napis: „Korespondencja do załatwienia”, na drugiej „Korespondencja załatwiona”, oba napisy po polsku. Trzecia teczką nosiła angielski napis: „Materiały do pracy nad wkładem polskim do ogólnowiatowej skarbnicy sztuki”. Pan profesor zjawiał się na trawniku o dziewiątej i pod czujnym okiem żony przez trzy godziny pisał także jakąś rozprawę.

Jako drugi przedstawiciel świata naukowego rozmawiałem często z Pietrzyńskim. Wiedziałem, że oboje Pietrzyńscy przyjechali do Ameryki jeszcze około roku 1930 i do kraju nie wrócili. Dlaczego? Tego byłem ciekaw, ale, jako człowiek nie wojowniczy, miłujący pokój nade wszystko nie chciałem o to pytać, aby nie wprowadzać do dyskusji niepotrzebnych zgrzytów.

Zdarza się w życiu, że ludzie miłujący pokój mają żony mniej pacyfistycznie nastroszone, które nie obawiają się zgrzytów i taką właśnie jest moja żona. Kiedyś więc w większej grupie rzuciła pytanie Pietrzyńskiemu dlaczego nie wraca do kraju. Odpowiedź była oczywista, przecież drugie miejsce na szubienicy po Matuszewskim itd., ale ciekawse było umotywowanie wniosku: „bo należałem do Związku Obrony Kresów Zachodnich”.

Nie zdążyłem jeszcze pomyśleć, dlaczego komunistki wieść mają kogoś za Kresy Zachodnie, gdy padło drugie pytanie z ust mojej żony i wokół zapanowała cisza.

„Proszę pana, pan wraz z żoną wyjechał z Polski w roku 1930. Wysłał was Fundusz Kultury Narodowej. Przez trzy lata aż do skończenia studiów pobieraliście polskie stypendium. Dlaczego nie wróciliście do kraju?”

Tadeusz Rokitniak

NAUCZYCIELE JĘZYKA I LITERATURY ROSYJSKIEJ

Przed dwoma miesiącami Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego zorganizowało kilkutygodniowy kurs dokształcający dla nauczycieli języka rosyjskiego. Jeden z wykładowców — człowiek zresztą młody — zwierzył mi się z rozbrajającą szczerością, że do wykładowców literatury społecznej II pol. XIX w. przygotowuje się między innymi z... bryka omawiającego „Szlacheckie gniazdo” Turgeniewa. Pokazał mi też niezastąpioną pomoc naukową — rok wyd. 1912 — kilkunastostronicową książeczkę zamykającą syntetyczny rozdziałik p. t.: „Ideologiczne wyzyny „Szlacheckiego gniazda”. Znakomity krytyk mocno chwali w nim Turgeniewa (w stylu naszych pocziwców literackich — „poeta ukochał...”) za „pełen przedziwnego uroku obraz prawdziwie rosyjskiego dworu”, nawoływanie ziemian do bardziej sprężystego niż dotąd administrowania własnymi majątkami itd.

Nie byłoby w tym nic złego, należałoby raczej pochwalić prelegenta, że wpadł na pomysł zilustrowania wykładu tak oryginalnym a jednocześnie przekonującym dokumentem „urzędowej” popularności ziemiańskiego postępowca lat 60-tych w państwie o ustroju wstecznym. Rzecz w tym, że ów prelegent posłużył się brykiem w celu zgola innym — po prostu streszczył bezkrytycznie całą jego zawartość i ex cathedra do wierzenia i przekazywania maluczkim podał jako swe własne „postępowe” rozważania!

Prelegent jest podobno jednym z najwybitniejszych i najczystszych nauczycieli — rosyjczyków okręgu. Kto są ci kursanci, którym prelegent przekazywał tak współczesną wiedzę o literaturze?

Nauczycieli języka rosyjskiego — obserwacje dotyczą Łodzi i wschodniej części Mazowsza — jest bardzo niewiele. Czynną wrażenie troglodytów z epoki kamienia... żółciowego. Ludzie starzy, dobrani przypadkowo.

Najpospolitsza metoda doboru — znajomy(a) kogoś spośród urzędującego grona nauczycielskiego — „zna język” — pocziwina. Więc starszka b. śpiewaczka opery petersburskiej, ongiś nauczycielka śpiewu, siedemdziesięcioletnia, romanistka, „otiec błogocześciwyj” — pop...

Pedagodzy ci — często obdarzeni kompleksem niechęci, częściej zupełni ignoranci w dziedzinie filologii rosyjskiej i zagadnień społecznych.

Zdarza się, że nauczyciel „przeświadczony” o braku pomocy szkolnych — mimo, że od dwóch lat dysponuje nieźle opracowanym podręcznikiem „Średni druziej” — ucieka się do pozostałych carskich „chrestomatij” sprzed pierwszej wojny z jej abstrakcyjnie — moralizatorskimi, naiwnymi oklepankami i niewspółczesnym słownictwem.

Trudno przypuścić, by gimnazjaliści wynieśli z tych lekcji rzetelną znajomość dzisiejszej Rosji i jej literatury.

Samo zaś nauczanie języka?

Nauczyciel szamocze się z „nową” — bo wprowadzoną akurat przed 30 laty — ortografią. Zdarzyło się, że młodzież musiała wkuwać niezmiennie skomplikowane prawidła i wyjątki nieaktualnego od lat wielu „ja”.

Czyż należy się spodziewać, że ten niewesoły stan rzeczy ulegnie za kilka lat radykal-

nej zmianie, kiedy to do pokojów nauczycielskich wejdzie zastęp młodych, świeżo upieczonych rosyjczyków?

„Powtarzam raz jeszcze, nie lubię zgrzytów. Patrzyłem ponuro w ziemię, mając żonę za złe, że sprawę tak ostro i niedelikatnie postawiła. Może i miała prawo tak mówić, bo mnie też Fundusz Kultury Narodowej do Ameryki wysłał, też przez cały jeden rok płacił stypendium, ja też w Ameryce dostałem profesorską nominację.”

Notuję wyjaśnienia Pietrzyńskiego, chociaż mało ciekawe, ale autentyczne. Oto po uzyskaniu doktoratu wrócił do Poznania na Uniwersytet, aby objąć czekającą na niego pracę. Ale na to samo stanowisko był inny kandydat, ojciec dwojga dzieci, któremu za parę tygodni miały jeszcze przyjść na świat bliźnięta. Pietrzyński nie miał serca zabierać mu posady. Z żalem wrócił do New Yorku dla sakramentalnego „szerzenia sławy imienia polskiego na obczyźnie”.

Byliśmy w Hunter z trzyletnią córką. Miała ona do towarzystwa rówieśnika Jasia Morell'a. Bawili się dobrze, chociaż Emilia nie rozumiała nic po polsku, a Jas nie po angielsku. W obu wypadkach cel był podobny. Po co mieliśmy córkę po polsku uczyć? Po powrocie nauczy się sama, a bez trudu będzie miała opanowany drugi język. Morellowie zaś uczyli Jasia tylko po polsku, bo chcieli, żeby tego języka nie zapomniał, gdy pójdzie do angielskiej szkoły.

Morellowie oboje przypadli nam do serca. Pochodzili z żydowskich rodzin wileńskich. Ani on, ani ona nikogo nie mieli na świecie. Wszyscy zginęli po gettach i krematoriach. Zdaje mi się, że w tak młodym wieku Morellowie zbyt głęboko przeżywali swoją tragedię. Ich jednych nie śmieliśmy zapytać,

dlaczego nie wracają do cmentarzyska swego narodu.

Steinowie, ostatnio zmienili nazwisko na Stene, byli mieszanym małżeństwem. On pocho- dził z żydowskiej rodziny z Warszawy, ona zaś, jasna blondynka o niebieskich oczach, z Krakowa. Mieli dwie córki, zupełnie podobne do matki.

Stein był inżynierem elektrotechnikiem. Doskonale zarabiał przed wojną w Polsce, zgromadził nawet spory majątek. Teraz stał się wysokim stanowisko w firmie „Westinghouse”.

„Po cóż mam rzeczy w bawełnę owijać — mówił do mnie. — Nie wracam, bo mi tu wygodnie. Mam już lat pięćdziesiąt, lubię życie beztrudne, spokojne. Nie mógłbym znieść powojennych, trudnych warunków w Polsce, gnieść się w trzech może pokoiach w zniszczonej Warszawie. Tu zarabiam doskonale. Nazwisko zmieniłem, bo wiem, że i w Ameryce antysemityzm jest powszechny. Moje córki są katoliczki, blondynki, mają niebieskie oczy, już na nie nikt nie powie, że są żydówkami”.

Do Steina miałem swoistą sympatię. On jeden podał prawdziwy powód, dla którego ludzie nie wracali. Absolutny brak ambicji, pieczeniactwo, wygodnictwo — to wszystko.

Dlaczego pomijam stronę ideowo-polityczną? Po prostu dlatego, że to czynnik wtórny. Wielu z tych ludzi miało kiedyś zupełnie postępowy pogląd na świat, niektórzy bliscy byli ruchowi socjalistycznemu. Teraz gwałtownie przerabiali się w prawicę, w reakcyjność. Aby pokryć swe wygodnictwo, powoływali się na patriotyzm, robili z siebie przeciwników nowej demokracji. Wierzyli we wszystko, co słyszeli od Matuszewskich i Borów. W rok czy w dwa można już było nazwać ich reakcjoniastami, ale jeszcze nie wtedy. Zbyt wiele zaszczytu przynosiłoby im to miano. Ot — po prostu ludzie bardzo mali, bardzo przyziemni.

Rusycysta pod „ściana płaczu”

nej zmianie, kiedy to do pokojów nauczycielskich wejdzie zastęp młodych, świeżo upieczonych rosyjczyków?

STATECZNA NIERUCHLIWOŚĆ „ALMAE MATRIS”

Rusycysta w Polsce reprezentowana jest na trzech załadowych uniwersytetach: Łódź, Toruń, Kraków. W dwóch wypadkach na katedrach zasiadają... „zastępcy profesorów”.

O jednym krąży słuchy, iż co prawda studiował przed laty w Petersburgu, bynajmniej jednak nie rusycystę. Drugi, mimo przypadkowego — wina uniwersytetu przedwojennego — braku habilitacji, jest erudyta na skalę europejską, ma za sobą świetną przeszłość naukowo-popularyzacyjną, jednak jego doświadczenia metodologiczne przekraczają jedynie petersburską szkołę idealistyczną r. 1914... o formalizm.

W trzecim wypadku profesor to wybitny badacz wersyfikacji. Literatura rosyjska bynajmniej jednak nie stanowi centralnej dziedzinę jego obszernych zainteresowań. Na Uniwersytecie Łódzkim przypuszczam, że na pozostałych ta sama sytuacja — wykładowca zmuszony jest „siedzieć na dwóch stołkach”, co dla niego jest szczęśliwe dla całości studiów. Uniwersytet bowiem dysponuje jednoosobowym etatem na „profesora literatury rosyjskiej i języka”.

Przyczyny tego niewesołego stanu rzeczy — dwie: pierwsza, o której się mówi — brak wykwalifikowanych sił. Druga, o której się nie mówi i z której sobie władze uniwersyteckie nie zdają najczęstszą sprawę, tkwi w specyficznej atmosferze życia wyższych uczelni: nieufność w stosunku do „ludzi nowych” — ludzi... „z zewnątrz”, tzn. spoza tradycyjnego, stykającego się na platformie towarzyskiej grona naukowców; kompleks wyższości w stosunku do krytyka drukującego raczej w czasopiśmie literackim; statyczność — błogie oczekiwanie, aż kandydat sam zgłosi się z chęcią uzyskania doktoratu i zdecydować się na znużającą, często dość bałamutną drogę powolnego awansowania od niższych stopni urzędowej hierarchii uniwersyteckiej.

Posiadamy przecież niepospolitego znawcę dziewiętnastowiecznej i współczesnej literatury rosyjskiej w osobie Leona Gomolickiego. Nie wykłada dotychczas na żadnym z uniwersytetów. Wina na pewno nie leży tu po jego stronie.

TLUMACZENIA

Przeglądam wityrny księgarskie i notuję w porządku chronologicznym:

Puszkina — owsem. Wznawiono liryki w tłum. Tuwima. Pollak przełożył dramaty. Ktoś mi mówił, że przygotowuje i prozę Puszkina... O poematach — tym najważniejszym elemencie dorobku literackiego wielkiego Aleksandra — cicho, głucho. Nic — nie słychać, by „szło ku wznowieniu” doskonałego belmontowskiego przekładu „Oniegina”.

Lermontow — najważniejsza po Puszkinie, tak artystycznie jak i ideologicznie, pozycja rosyjskiego romantyzmu — dotychczas wcale nieruszona. Podobno drukuje się wznowienie „Demona” w prymitywnym przekładzie Chylińskiego. Krok co najmniej niefortunny. „De-

mon” — dziwactwo mistycznej wyobraźni, sam autor w ostatniej fazie twórczości oceniał go b. ujemnie — jest dziś najmniej aktualną pozycją w spuściźnie autora „Bohatera naszych czasów” i nie od tego utworu należałoby zacząć zaznajamianie czytelnika polskiego z Lermontowem.

O Gogolu myśli się dość serio — brawo! Bieliński, mimo, że w b. r. obchodzimy stu- letnią rocznicę śmierci wielkiego krytyka — jest u nas nadal białą kartą.

Postępowy poeta — społecznik lat pięćdziesiątych Nikrasow, który znacznie wpłynął na linię naszej późno-romantycznej i pozytywistycznej literatury społecznej też — biała karta.

Nic wprawdzie nie piszczy o „Oblomowie” Gonczarowa.

Z Turgeniewa jedynie Bak wydał „Ojców i dzieci” — powieść była, jak wiadomo omyłk. pisarza, obserwującego Rosję od szeregów już lat z Baden — Baden. Należało przecież zacząć od „Zapisków Myśliwego”, które, nawiasem mówiąc, nie miały jakoś dotychczas szczególnej w naszej literaturze przekładowej — poza przedpotopowym wyborem Jeske-Choińskiego.

Mniejsza o szeroko tłumaczonego i rozbijanego przed wojną Dostojewskiego, gorzej, że z Lwa Tołstoja pokazano dotychczas załadowy pierwszy tom autobiograficznej trylogii — milutkie „Dzieciństwo”. Gdzież wielkie powieści historyczne i obyczajowo-społeczne.

O Leskowie i Koroiencie — cicho wszędzie. Z Czechowa — fragmenty. Od dwóch lat wszystkie księgarnie szczytają się i wystawiają przy każdej uroczystości narodowej samu- teńką jak palec „Matkę” Gorkija.

LITERATURA WSPÓŁCZESNA

Kupiłem „Cichy Don” Szolochowa — nieśmiały, nie dano mi ostatniego tomu — jeszcze nie przetłumaczono. Po miesiącu chcę kupić „Drogę przez mękę” Aleksandra Tołstoja. Dwa tomy — owsem są — a trzeci? — Trzeci się nie ukazał. Co jest na Boga Ojca! Nie spotkałem przekładu „Dni i Nocy” Simonowa — książkę przełożono na kilkanaście języków, — ani też „Sputników” Panowej, za to widzę szereg pozycji beletrystycznych, bez których można się narazie obejść. Aha, jest „Pamięć pedagogiczna” Makarenki, dobrze, ale to chyba mało.

Poza luksusowymi „Dwoma wiekami poezji” nie mamy dotychczas żadnych syntez, żadnego racjonalnego podręcznika literatury rosyjskiej. Gimnazjum szwankuje, uniwersytety — także, racjonalny dobór przekładów ma dać zespół wiedzy o Rosji i jej literaturze dla tej większości czytelników polskich, którzy nie mają możliwości sięgnięcia do oryginałów. Zadania tego dotychczasowy powojenny dorobek przekładowy nie spełnia. Akcje tłumaczeniową cechuje najzupełniejsza bezplanowość. Dobór najczęściej przypadkowy — wynika m. i. z ignorancji wydawców. Niejednokrotnie w grę wchodzi prosta niesolidność. Nie sposób inaczej wytłumaczyć faktu pu- szczania na rynek przekładów niedokończonych, tym bardziej, gdy są to pozycje, których szybkie tłumaczenie nie zastęga wiel- kich trudności technicznych. Nil desperandum.

Józef Pogan

Życie i praca nauczyciela

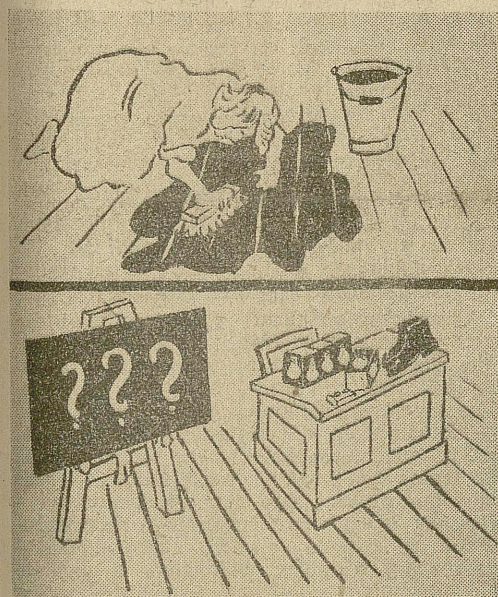
SYTUACJĘ materialną nauczycielstwa i ich żywot codzienny poznałem dobrze, zaprzyjaźniłem się bowiem we wsi i w okolicy z dwunastoma rodzinami nauczycielskimi. Odwiedzamy się wzajemnie i debatujemy nad różnorodnymi sprawami.

Jakie jest więc położenie materialne nauczycieli? Czy przypadkowo głos zrozpaczonej nauczycielki z Poznańskiego nie jest odosobnionym wypadkiem wskutek niezdarłości życiowej? skrzywdzenia przez nieszczęśliwy los? i t. p.

Obiektywną ocenę tej sytuacji można wyrobić tylko na podstawie przeciętności, to znaczy nie brać w rachubę ni skrzywdzonych przez nieszczęśliwy los, ni też czynsz „uszcześliwionych”. Czy warunki życiowe zależne są tylko od przychodowości? Tu decyduje ilość i wiek członków rodziny, ich zdrowie, decyduje zaradność życiowa, zasobność w odzież, sprzęty i t. d. i t. d. W tych wypadkach odchylenia bywają ogromne, których nie można w żaden sposób ujmować. A więc przeciętność trzeba wziąć za wzór i nią się wyłączać kierować w ocenie.

Na dwanaście znanych mi nauczycielskich rodzin (połowa autochtonów, połowa repatriantów) — dwie tylko nie należą do przeciętności: jedna zamożna jeszcze sprzed wojny, druga z Bugu doszczętnie zniszczona. Inni czy to Ślązacy, czy repatrianci żyją normalnie.

W ogólnym zestawieniu owa „norma” wygląda tak: jeśli nauczycielem jest mąż, to żona wykonuje wszelkie domowe prace i w dodatku szuka jakiegoś zarobku; jeśli uczy oboje, lub gdy jedno gdzieś indziej pracuje, wtedy oboje dzielą domowy trud; jeśli nauczycielka jest wdową — to już jest zaharowana od szóstej rano do dziesiątej wieczorem. Bo żadna ze znanych mi nauczycielskich rodzin nie ma służącej, ani też nie najmuje posługaczek. Nie z chytrości, nie ze skąpstwa, broń Boże, tylko nie ma za co. To też skrycie, a często i jawnie narzekają na swój żywot, żałują się do zawodu nauczycielskiego, a nawet go porzucają. Czterech mych przyjaciół przeszło do innej pracy i zarabiają nie po 7, a po 12 tys. zł mies.



Zastanówmy się pokrótce nad życiem i pozaszkolnym spędzaniem czasu paru nauczycieli.

Oto jeden z nich wracając ze szkoły wstępuje po drodze do mnie. Jest zawsze wesoły, „zaradny życiowo”, zawsze wesoły za jakimś zarobkiem, choćby nawet za najdrobniejszych.

— Józku, udało mi się wytrzasnąć kilka naciągów — mówi zadowolony. — Zarobię choć na kawałek słoniny. Tobie sprzedam po cenie własnych kosztów, wypłacisz mi powiedzmy mlekiem.

Innym znów razem — Kup moje przydziałowe trzewiki, bo potrzebuję forsy na święta.

Albo jeszcze — Wiem o niedrogiem ubraniu. Kup, obydwa coś na tym zyskamy.

Za każdym razem przerywam owemu „kupczykowi”. — Pozostaw — że handel innym, bo przecież masz dość swoich obowiązków.

— Masz rację, tylko wiesz, że trzeba żyć jakoś, tak, aby nie stracić „fasonu nauczyciela”. Tak cię cenia, jak cię widzą. Chłopi szanują albo „gospodarza”, albo „pana”. Trzeba się przecie jakoś różnić, aby mieć autorytet. Zadania poprawię w przeciągu godziny, a resztę czasu muszę gonić.

Goni więc, „jest zaradny życiowo”. Dlatego też poza nabytą w seminarium wiedzą nie posunął się ani na krok, bo jak, gdy nie czyta nowoczesnych pism i książek. Czy taki nauczyciel wychowa należycie swych uczniów i czy sam nie wypadnie z ciągu kultury? Może już wypadł.

Ta sztuka handlu jest odkrywcim z czasów okupacji. Czy konieczne musi ją przedłużać nauczyciel? Oczywiście — nie. Handluje dla podniesienia autorytetu „pana” i stanu materialnego. Te dwa cele osiągnąć można inaczej. Pomijam tu zapewnienie władz pań-

stwowych o podniesieniu pensji nauczycielskich. Przed nauczycielem stoi jego lokalne zadanie — bić się o podniesienie znaczenia szkoły w okolicy. Brak na wsi **Komitetów Rodzielskich**. Fundusze społeczne koła pozwoliłyby na 1) budowę i rozbudowę szkoły, 2) wyposażenie techniczne biblioteki, 3) świetlice, 4) przedszkole, 5) stypendia dla najzdolniejszych, 6) kursy dodatkowe (S. K. K., dokształcanie analfabetów itp.). Myślę, że na tej drodze uzyskać on może nowy, silny autorytet i podnieść swe warunki materialne (Komitet uchwała opłaty za czynności zleczone — dodatkowe).

Poniosły mnie refleksje, wróćmy do obrazków.

Odwiadam nauczycielkę. Raz zastaje ją przy gotowaniu i sprzątaniu, to znów mokrą nimbą topielicę przy szorowaniu podłogi, przy praniu, a rzadko przy opracowywaniu następnej lekcji, czy przy czytaniu. Z początku wstyd jej było, że musi być praczką, sprzątaczką, teraz już wie, że ją rozumiem. Bo naprawdę pragnie być społecznie bardziej pożyteczną. Jest wysoce inteligentna, uświadomiona społecznie, trzeźwo myśląca. Żywo interesuje się sprawami społeczno - kulturalnymi i politycznymi. To też jest bezustannie zaharowana: po przyjściu ze szkoły pracuje fizycznie do wieczora, później czyta lub opracowuje następną lekcję.

DYSKUSJA O NAUCZYCIELSTWIE

Owa nauczycielka jest wdową, jedyne jej dziecko — osiemnastoletni syn skończył gimnazjum i kształci się dalej. Matka posyła mu co miesiąc dwa tysiące złotych na odzież i inne wydatki, trochę znów wyda na abonowanie pism, a resztę pensji starczy zaledwie na utrzymanie.

Inna nauczycielka też sama gotuje, sprząta, pierze, szoruje podłogę. Nie rąbie tylko drwa i wody nie nosi, bo mąż robi to po przyjściu z biura. Zresztą nie podołałaby już więcej, bo dzieci ma kilkoro i małe. Ta nauczycielka nie czyta wiele, najwyżej dziennik jaki mąż z biura przyniesie.

Reszta nauczycielstwa też mniej więcej w ten sposób żyje i pracuje. Pracują na „aby, aby”. To też nie „dziwnego”, że uczeń ósmego oddziału pasąc krowy — na moje zapytanie: „kto zniszczył Warszawę?” — odpowiedział, że „Niemcy i Rusy”. Tak mu powiedzieli w domu i tak też on powtarza, bo w szkole nie dowiedział się o tym. I to się nazywa wychowaniem pokolenia! A jak jest z czystością języka polskiego? Przekraczając każde słowo, „onacza” tak jak ich rodzice. I to wcale nie z przywiązania do zaśmieconej niemiecką gwary, a tylko z nieznośności należących słów. To są ósmoklasisci szkoły powszechnej!

Praca społeczna też wiele pozostawia do życzenia.

„Przedwojenna, seminaryjna wiedza” niewiele tu pomoże. Trzeba tę „wiedzę” uzupełnić nowymi zdobyczami, trzeba czytać, nie podłogi szorować, czy gonić za żarówkami.

W takim stanie tylko plebania zbiera owoce, bo nie wychowaną należycie w szkole młodzież łatwo jest ująć. Dowodem tego są Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży.

Słysząc — a na walnym Zjeździe Z.N.P. mają to ministrowie potwierdzić — że państwo uczyni nowy krok (wzrost produkcji) dla podniesienia sytuacji materialnej nauczyciela, dla podniesienia losu, jaki nas wszystkich ludzi pracy spotkał przez powojenne zniszczenia i wielokrotne zapóźnienie. Ten los jest jeszcze w części nasz, ale ślepiem trzeba być, żeby nie widzieć, że przesuwamy go poza nas, jako historyczną przeszłość, przesuwamy wszyscy dla wszystkich i dlatego warto, aby nauczyciele tym mocniej pomyśleli o nowych, ludowych drogach dalszego wzmocnienia swego autorytetu i sytuacji materialnej.

Stanisław Cwenar

Kto nas okrada?

POMIJAJĄC kwestię, czy nauczycielstwo jest życiowo zaradne, czy nie, twierdząc wraz z A. Kamińską*), że jest ono ciężko chore na złe samopoczucie w najszerszym tego wyrazu znaczeniu. Twierdząc nawet, że objawy tej samej chronicznej choroby występują nierzadziej niż u nauczycielstwa także i w niektórych innych grupach zawodowych. Jako skutki tego stanu rzeczy widzę: jakieś niezadowolenie, nieufność, apatię, bierność, wyczekiwanie, brak zapału, co w konsekwencji u dość znacznego procentu nauczycielstwa powoduje niezdolność do pozytywnego włączenia się w bieg dokonujących się przemian polityczno - społecznych, gospodarczych i kulturalnych w roli współuczestników i współtwórców.

Powszechność i przewlekłość tej choroby podnoszą jej znaczenie w ogóle, a specjalnie u nauczycielstwa, albowiem przede wszystkim ono jest powołane do wszczepiania i ugruntowywania nowych idei Polski Ludowej.

Tymczasem nie czyniła tego owa, wzmiankowana przez ob. Kamińską nauczycielka historii, która zapewne pięknie mówiła o reformach agrarnych w epoce Grakchów, ale... nie zdobyła się na zaktualizowanie tego zagadnienia. Wraz z nią nie czyni tego także i wielu innych nauczycieli.

uczycielstwa jest zależna od ogólnej sytuacji gospodarczej Państwa. Chcemy wierzyć, że ta sytuacja w obecnej chwili jeszcze nie pozwala na wydatne podwyższenie naszych uposażeń.

A jednak?

Jednak wie to doskonale uzalająca się na swój los koleżanka X. a wraz z nią „miemy to my wszyscy, że obecne nasze niewątpliwie bardzo ciężkie położenie materialne jest wynikiem nie tylko naszych niskich płac, ale — i to przede wszystkim — nierównomiernego rozkładania się dochodu społecznego.

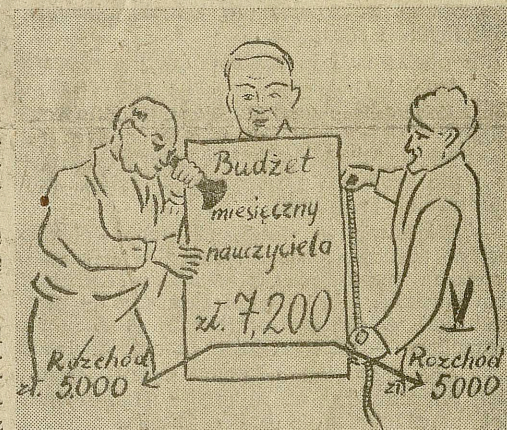
Twierdząc, że nie dlatego mam mało, iż ze wszystkimi dodatkami, stołówką, ekwiwalentem za częściowo skasowane przydziały otrzymuję tylko 7.200 zł miesięcznie, lecz dlatego mam mało ponieważ np. lekarz odbiera ode mnie za 1 wizytę (provincia—12 km) mój zarobek dwudziestodniowy, krawiec za szycie ubrania z przydziałowego materiału wartości 1.340 zł bierze 5 tysięcy złotych, a więc również mój dwudziestodniowy zarobek itd. itd.

U nich panuje przesyty przejawiający się w wyszukanych strojach, skupowaniu dolarów, biżuterii, realności itp. u nas nauczycieli — niedosyt żywnościowy, odzieżowy, opałowy, a nade wszystko — kulturalny. Stąd też pochodzi nasze złe samopoczucie.

Lecz nie tylko nasze.

Znam np. chłopca, który zmuszony był wezwać do pomocy żony bawiącego tu w gościnie u teściów lekarza. Za czynności, które trwały najwyżej godzinę, zażądał ów „Judym” 10.000 zł, a po długich targach łaskawie przyjął 8.000 zł, tj. stawkę równającą się dla 3-morgowego chłopca, obciążonego ósmorgiem dzieci, odjęciu od ust tych dzieci i położnicy każdego jarka i każdej kropli mleka na przeciąg jakiegoś roku.

Twierdząc, że ten chłop raz z nami i jeszcze wielu innymi też zachorował na złe samopoczucie, z którego nie wyleczy się wcześniej, aż znajdzie się jakaś zdecydowana wola i silna ręka, która położy kres temu i tym podobnym wypadkom ulegalizowanego wyzysku.



Tymczasem zachłanność ludzkiej nie jesteśmy w możności zaspokoić przy pozostawieniu sobie drobnej reszty na najkonieczniejsze potrzeby i dlatego nasze samopoczucie jest złe.

„Silaczka” mogłaby się z tego nieznosnego stanu psychicznego przygnębienia wyzwolić, lecz ile ich wśród nas jest?!

Owa bezideowość przedwojennego wychowania, nagłość załamania się tradycyjnego sposobu myślenia, wreszcie nieznośność lub powierzchowna znajomość istoty i głębi dokonujących się przemian bynajmniej nie sprzyjały wyrobieniu w wielu z nas nowego światopoglądu.

Jestem np. głęboko przekonany, że istoty marksizmu nie zgłębił dotychczas nawet co dziesiąty nauczyciel.

Dlatego też wydaje mi się, że porządne studium, socjalizmu naukowego w znacznej mierze przyczyniłoby się do wyrugowania z nauczycielskich umysłów i serc resztek istniejących tam jeszcze oporów i przyspieszyłoby znacznie ich upożytywnienie i uaktywnienie, a co za tym idzie — włączenie w rytm procesu ideologicznej przebudowy.

Czytając: „IKP” — „Głos nauczycielski” i „Przyjaciółko”, długo jeszcze będziemy na ten moment czekać.

Dlatego my, nauczyciele, domagamy się przeszkalanania nas na kilkutygodniowych, dobrze zorganizowanych kursach i zasilania nas dostateczną ilością dobrze dobranej lektury.

Byłby to jeden ze skutecznych środków leczenia złego samopoczucia.

Wierzę, że i inne skuteczne środki się znajdą i że wraz z chorobą ustąpią i jej symptomy: obecne niezadowolenie, nieufność, apatia, bierność, wyczekiwanie i niechęć do czynnego i samorządnego włączenia się w epokowy proces przebudowy.

O to zaś, czy rolę nauczyciela - demokraty należy wówczas ograniczyć do rozpowszechniania kultury, czy też po staremu zezwolić mu na wszechstronną działalność w środowisku, nie będę już z Szanowną Autorką kruszył kopii.

Redakcja tygodnika „WIEŚ”

przypomina o konkursie

„Ilu zdobyłeś prenumeratorów WSI?”

Dla zdobywców nowych prenumeratorów naszego pisma, obok nagród przewidzianych w ogólnym konkursie prasy Związku Samopomocy Chłopskiej (patrz „WIEŚ” Nr 13—14, z dnia 28 marca — 4 kwietnia b. r.), redakcja przewiduje następujące nagrody:

I. od 10 nowych prenumeratorów — a) bezpłatną nową prenumeratę od 1 stycznia 1949 r.,

II. od 25 nowych prenumeratorów — (a) i b) rocznik „Wsi” lub książkę,

III. powyżej 50 nowych prenumeratorów — (a), (b) i nagrody pieniężne (kilkadziesiąt tysięcy złotych).

Nauczyciele, działacze gospodarczy, młodzieżowi, polityczni, licealiści, studenci, panowie adwokaci, lekarze, „inteligencja polska”...

PRZEZ „WIEŚ” DO WIEDZY I ZNAJOMOŚCI WSI POLSKIEJ!

W NASTĘPNYM NUMERZE

O WALNYM ZJEŹDZIE Z. N. P.

I.

Jerzy Piórkowski

MÓJ PRZYJACIEL

BYLIŚMY przyjaciółmi. Nie było to tak dziwne, jakby się na pozór postronnemu obserwatorowi wydawało. On, syn małego chłopca z ciemną jak kawa twarzą, pięknym stażem partyjnym był uważany za jednego z najbardziej obiecujących działaczy chłopskich młodego pokolenia i ja, typowe dziecko inteligencji, z całym nawarstwieniem nie tylko akowskich kompleksów i krzywd. Nie pamiętam nawet, jak rozpoczęła się nasza znajomość, która potem bujnie wyrosła między nami. Gdy ma się na karku niewiele ponad dwadzieścia lat i ciężki życiowy trening konspiracji za sobą, ludzi najchętniej poznaje się i ocenia instynktem dobrego myślowego, czulego jak i jego wyżej przede wszystkim na przyjazny czy wrogi zapach skóry, oddechu czy tylko postaci nieznanego. Nauczyliśmy się w walce sprawy przyjaźni normować prosto i konsekwentnie, bez słów, czynami. Wielu chłopców przychodziło, wielu odchodziło. Ten dryl pozostał we mnie.

Były to parszywe miesiące. Ciężko przychodziło chodzić po ulicach pełnych światła. Trudno śledzić spokojnym wzrokiem po twarzach ludzi wyrzniętych spojrzaniem z mijanego tłumu, zapędzonych w ciągły kołowrót dnia, rozkochanych czy ślamazarnie się mizdrzących, nerwowo kroczących w poszukiwaniu nowych kantów czy wreszcie takich, którzy dotąd cenili tylko wilczy pochód, to znaczy, czekającą na ich drodze ofiarę czy zdobycz.

Z ulic ledwie z grubsza uprzątniętych zwisały się pncza pogiętych konstrukcji, o barwie zaschłej krwi. Szczury migają ciagle przed oczyma, łyskając brudnym podbrzuszem.

Szliśmy razem z uczelnią wąską ścieżyną wśród rozbitej cegły. Obok jazgotyły tysiącami kół Aleje Jerozolimskie, świecił jasną luną światło niedawno otwarty dworzec na Towarowej, przeciągle pisały przychodzące i odchodzące pociągi. Z przykrością opowiadałem historię swoich ostatnich lat. Powtarzałem ją aż do znudzenia dziesiątki razy ludziom, którzy zwykle seplenili pod nosem jakieś wyrazy uznania, a jednocześnie trwoniąc mrugali oczkami, gdy spotkali mnie przypadkiem na ulicy. Życie szło naprzód. Za mną jak smuga cienia przeszłości szły nie tylko ciche nadzieje mojej klasy, ale i lek kołtunerii przed odpowiedzialnością. Był to właśnie gorący moment ujawniania się. Dzięki Radostawowi żołnierze wychodzili ze swoich błędnych dróg z honorem. Ulica Marszałkowska traktowała ich jednak jako prowokatorów i zdrajców.

Przyjaciel mój w pewnej chwili przerwał:

— Wiesz nie żałujesz przeszłości? Czujesz sam, iż zrobiłeś słusznie zrywając z konspiracją? — Powiedział mi po raz pierwszy ty. Zasmiałem się krótko. Byłem zazwyczaj śmiały i nie kryłem się ze swoim zdaniem, gdy ktoś chciał je poznać.

— Właściwie to wiesz, że moje miejsce jest po tamtej stronie barykady. Myśliwy nie powinien rozstawać się ze swoim nałogiem tym bardziej, gdy był nim zarażony od piętnastu lat. A cóż byś powiedział — dodałem z przekorą — gdybym jutro poszedł do lasu?

— Ano idź — odpowiedział powoli przyjaciel, tylko uważaj, żebyś kogo z nas nie spotkał, ot choćby mnie, często jeżdżę...

— To i co? — spytałem zaczepnie.

— A no wróbelku mały — mówił ciepłym głosem — dostałbyś ode mnie kule na drogę, nie tylko ode mnie. My takich jak ty lubimy, gdy gapia się, wioząca za dziewczynkami, śpiewają „Warszawo ty moja Warszawo”, ale jak wsadzasz palce między drzwi, sam rozumiesz, drzwi przytną — zaśmiał się uradowany.

— Już byli tacy, co próbowali nam i głowy przycinać — odpowiadałem urażliwie podrażniony. — Pamiętaj, że broń nie lubi strzelać w jednym kierunku, a cele są wszędzie.

— Zgoda — odpowiedział uśmiechając się — ale tak jest wówczas, gdy strzelają sobie pojedynczy ludzie, gdy strzelają ot ty. A tutaj wiesz kto będzie strzelał? Proletariat.

Nie odpowiedziałem.

Kiedyś pojechałem do niego. Przeglądaliśmy jedną noc, drugą. Staszek był administratorem majątku byłego fabrykanta. Chodziliśmy, kłócąc się, po opustoszałych pokojach, po wschodzących nieśmiało ziemiopłodach, po drodze pełnej wiosennych chlupotów. Wśród wzajemnych żalów odnajdywaaliśmy wspólną drogę. Myślałem często o przeszłości, odnajdując w jego dzisiejszej postawie coraz więcej żołnierskich, klarownych rysów. — Czy to tylko jeden z żołnierzy olbrzymiego pochodu, który świadomie kroczy razem, czy tylko samotny fanatyk, żyjący tak samo jak ja dotąd, w świecie stworzonym przez wyobraźnię, lubiącą widzieć tylko te barwy do których czuje się sentyment. Może więc obaj spoczywamy na bezludnej wyspie, obcy tożaczemu się wartko obok nurtowi życia? Czas pokaże, jemu zostawmy resztę — myślałem po każdej rozmowie.

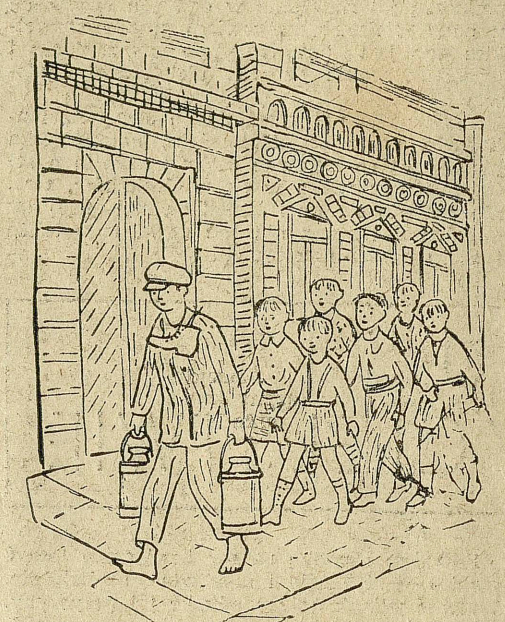
I czas rychło pokazał.

II.

Życie Staszka było niełatwe. Dwie morgi ojcowskiego podkrakowskiego pola i wyniesiony z domu radykalizm chłopski — oto całe dzieciństwo. Ciężko, zajądło trzeba było torować sobie drogę. Wczesne spotkanie, z robotniczym ruchem lewicowym i współpraca z nim — oto najistotniejszy przełom na tym etapie. Na Jagiellońskiej, Uniwersytecie — ciągle walki z kołtunierią ONR-owską, z których nierzadko wychodził zły krwią. Manife-

stacje pierwszomajowe, aktywna pomoc dla strajkujących robotników krakowskich fabryk — to były wykłady grubo cenniejsze nawet od wykładów prawa rzymskiego samego profesora Taubenschlaga. A dekoracje tego życia?

Liche: ciągle przymieranie głodem, noce spędzane nierzadko na trawnikach w parku królewskiego miasta. Koszule, z zasady nosił ciemną. Dawała się ona wówczas nosić bez potrzeby prania dwa, trzy, cztery tygodnie. Do wsi wpadał dość często. Miasto nie potrafiło pozabawić go przywiązania i miłości. Rychno stał się duszą prac. Co roztrośniejszych



rys. St. Cieloch

spośród młodzieży trzymał twardo w garści, za starszymi już na całego się dogadywał. Pamiętam go dobrze, gdy opowiadał o swojej pracy organizacyjnej na terenie robotniczego Krakowa. Staszek wówczas często kursował między rodzinną wsią, a strajkującymi fabrykami. Razem z kolegami pieszo wracali do Krakowa z bankami mleka dla dzieci strajkujących robotników. Pewnego razu zdarzyło się, że Staszek w swojej podróży wybrał się w nowych butach. Droga była daleka, perspektywy kupienia nowych — bardzo odległe. Tuż za wsią Staszek zdjął trzewiki i po chłopsku przerzucił je przez drugie ramię, a sam bosy pomaszerował ku czerwonemu Krakowowi. Przed miastem po obejściu posterunków policyjnych próbował buty na powrót włożyć. Niestety nogi były tak rozparzone, iż mimo rozpaczyliwych wysiłków trzewika nie udało się wciągnąć na stopę. Staszek nie namyślał się długo. Z powrotem zarzucił buty na plecy i dziarskim krokiem pomaszerował na bosaka poprzez asfalt krakowskich ulic ku przedmieściu. Z dwiema srebrzystymi bankami pełnymi miarowo chlupocącego mleka, w okragłej studenckiej czapcece wzbudzał na ulicy powszechną sensację. Rychno też miał za sobą cały orszak chłopaków, głośno komentujących niecodzienną, jakby żywcem z szesnastego wieku przeniesioną sylwetkę żaczka, chyłkiem przemyskającego się ku swoim komysom.

Rodzinną wioską była pełna słomianych strzech, pełna nędzy ludzkiej i nienawiści do dworu. To był pierwszy, chyba najukochańszy teren działalności Staszka. Chodził ze zorganizowaną przez siebie gromadą chłopów nad Wisłę, która tutaj jest tylko wąską nitką zbełkotanej wody, ujętej w kłamrę wysokich brzegów. Tutaj podbiegały dworskie pola pszenicy. Staszek mówił do nich, i do pól i swoich towarzyszy:

— To będziemy dzielić ot, tak — nogi nabierały sprężystości, twarz czerwieniała z podniecenia. Przekreślał szeroko płaty tułstiej ziemi aż do migocącej w dali linii widnokręgu.

— To będzie wszystko nasze — powtarzał. — A we dworze — tu wskazywał ręką na biały profil zabudowań pokryty ciemną zielenią lip i kasztanów, — będzie szkoła i świetlica. I znów bez przerwy kreślił szerokim, zamasytym ruchem po niebie i uciekającym ku niemu dworskim zagonom. Szorstko i namyślnie mówił o nowym świecie i o nowym w nim człowieku. Był pewien swego, prawo młodości mówiło mu zapalczywie, iż wszyscy są z nim razem, iż on i ta chłopka gromada są jednym, jednako działającym ramieniem i jednako czującym sercem. Ot, tym rosnącym jak na drożdżach proletariatem.

III.

— Opowiedzieć ci może o ostatnim spotkaniu z moją rodzinną wsią? — Staszek leżał niedbale rozciągnięty na trawie, ja obok niego. Było gorąco, w gąsienicach drzew buszowały słowiki, na przeciw nas, wśród grządek pomidorów błyskały białe łydki pracujących dziewczyn. Próbowałam się uczyć, na próżno! Staszka co chwila odrywano od skrypcy. Przybiegał, klnąc co się zmieści, rozchełstany, spotałszy z wysiłku, ale coraz bardziej tryskający energią i siłą. Teraz nikt nie przeżywał ciszy, leżeliśmy z oczyma zwróconymi na niebo. Czekaliśmy.

— Właściwie cała historia jest śmieszna i dlatego może tak bardzo boli. Ta wieś przez naszą „łagodną rewolucję” przeszła normalnie, to znaczy dziedzic uciekł do miasta, z miasta przyjechały brygady robotnicze i zaczęły dzielić ziemię. Nie byłam tam wówczas, ale zdawało mi się, iż przeżywałam to razem z nimi, rozumiesz? Ja dobrze znałam te pola, sam dzieliłem je w duchu setki razy, sam ustawiałem ławki szkolne w salach dworu, sam sprowadziłem tutaj nauczyciela, maszyny, książki, pisma...

W wyniku przeprowadzonej reformy rolnej, dostali wszyscy bezmała sąsiedzi. Ojciec chyba najmniej. Cieszyłem się nawet z tego. Teraz nie będzie zawiści, myślałem, nie będzie sarkania, że dzięki protekcji, dzięki synkowi... Odwiedziłem ojca tuż przed wyborami. Nie było po prostu wcześniej czasu. Siedziałem po uszy zagrzebany w partyjnej robocie, po tygodniach całych ganiałem po powiecie, wciskałem się do najmniejszej dziury. Wracałem z reguły o dwunastej, pierwszej w nocy. Miałem wówczas szczęście, tylko raz próbował mnie zamordować, — uśmiechnął się lekko i spojrzał na mnie. Profil jego rysował się ostro, obwiedziony zachodzącym słońcem.

— Wracałem wtedy wyjątkowo późno — ciągnął — około drugiej w nocy. Tuż za skrajem lasu gwizdnął mi nad głową pocisk. Obejrzałem się za siebie i ujrzałem za drzewem człowieka mocującego się z bronią. Widać pistolet po strzale zaciął się. Cóż miałem robić? Staszek strzepnął ziemię ze spodni, przysiadł się do mnie jeszcze bliżej i ciągnął z wyraźną drwiną w oczach:

— Ty wiesz, Jerzy, co ogarnia wówczas człowieka szybko jak pożar: wściekłość. Podbiegłem do niego. Miał oczy szczerą miotającą się w klatce. Spoliczkowałem go i wyrwałem broń z ręki, zapisał jak prosiak. Znalłem go z widzenia: jeden z lokatorów niedaleko leżących wili, dugocholewiasty bywalec miejscowych knajp i kawiarni. Cóż miałem z nim robić? — powtórzył. — Byłem tak zmęczony pracą... kazałem mu iść precz.

Zamknął na chwilę, nie przerywałem ciszy, gryzłem w ustach bezwiednie zdżbło urwanej trawy, czulem gorzkie soku rośliny, ale nie przerywałem swej czynności ani na chwilę. Chciałem coś powiedzieć, choćby bez związku, nie na temat, nie mogłem.

W tym czasie dostawałem od czasu do czasu listy od ojca ze wsi. Budował się. Znalłem starego. Nie dośpi, będzie żył rok obierkami, a swojego dopnie. Między wierszami zawsze wyczytywałem jedną niezmienną prośbę: nie miałem dużo. Było i jest dość mizerne. Ale zawsze coś urwałem i posyłałem staremu. Dziwiło mnie tylko bardzo, iż stary nie nie wspomina o reszcie wsi, o sąsiadach, znajomych, był zawsze pełen wigoru, pełen wiadomości z całej gminy, jak rzadko kto, mając otwarte uszy i dobrze patrzące oczy. Ale nie gniewałem się, zapracowany, usprawiedliwiałem go sam wobec siebie i tylko uśmiechałem się, gdy stary pisał do mnie abym się pilnował i uważał na siebie. Wówczas wzrokiem wędrowałem ku swojej zdobyczy, którą wyrwałem z rąk niedosłzłego zabójcy, ślicznemu rzutowemu Ciołtowi. Przed wyborami wyrwałem się jednak do niego. Gdy wysiadłem na malej żółtkiej stacyjce przeszłość rzuciła mi się naprzeciw silnym, stale rosnącym nurtem. Poznawałem nad podziw dokładnie poszczególne zagrody, budynki, pola. Ręka wojny nie dotknęła na szczęście tej ziemi. Z dala czerniały drzewa mojej wioski. Mróz maścił policki, śnieg skrzył pod butami. Oto droga do dworu odwijająca się od traktu drobnym, łagodnym półtukiem.

Teraz stał tam na niej starannie ciosany palik, na nim przekrzywiona tablica z wyraźnym napisem: Ośmioklasowa szkoła powszechna, a obok strzałka, na której ktoś widział już później, niezdarnie dopisał: Do świetlicy. Wszędzie widziałem białe krokwie, wszędzie leżały płaty świeżych desek i stopy dachówek. Chłopi budowali się. Wiece ukończonych budowli, często zeschle i szeszczące tylko na wietrze, często o pełnych, zielonych jeszcze liściach czy igłach, widniały niemal na każdej zagrodzie. Wiedziałem już z listów ojca, co było pierwszą przyczyną tej odbudowy: wieś dostała drzewo na spłatę, przybyło ziemi, każdy myślał i planował na wyrost.

Ojciec przyjął mnie serdecznie, mieszkał jeszcze w starej chałupie, ale już w nowej stolarz kończył wstawiać okna i drzwi. Chodziłem po izbie jak niewidomy, który niespodziewanie po zdjeciu katarakty odzyskuje wzrok. Z każdego kąta podbiegały stare lata. Na każdej ścianie widziałem obrazy odżywiający napowrót. Pytałem starego o znajomych, kolegów. Odpowiadał skąpo. Czasem milczał. Nie dostrzegałem tego, uniesiony powodzią wspomnień. Zjadłem na prędce obiad i wyszedłem na wały, nad Wisłę, gdzie zwykle chodził chłopcy i dziewczęta po skończonej pracy. I teraz było nie inaczej. Byłem wzruszony, gdy ujrzałem te same twarze tylko jakby wystrzęsane, uproszczone w rysunku, przez przeszłość już za nami lata. Witał się w milczeniu, chłodno. Padają pytania, które musiały padać: co się z tobą działo, jak się czujesz, tyle czasu... Powoli onieśmielony zaczynałem jakby nagle dopiero dostrzegać tych ludzi. Szliśmy jak zawsze

wzdłuż wału. Troskliwie obszukiwałem wzrokiem rozwartą przede mną przestrzeń. Ten sam układ pól, znajome grzędy drzew, ten sam mocny zapach ziemi, bijący w nozdrza. W dole szumiła Wisła ujęta w białe burty śniegu. Spytałem się mimo wszystko pewny swego: a czyje to teraz pola chłopcy? Milczeli. Śnieg skrzył miarowo, błądziłem wzrokiem jakby w pogoni za niewidocznymi śladami. Gorąco uderzało mi do głowy. Czyje to teraz pola chłopcy? — powtórzyłem. Wówczas z tyłu odbruknął głos: Ano twoje... I zaraz rozległ się z lewa, z prawa, z tyłu nieśmiały jeszcze, ale kłasiły chichot. Nie mogłem wytrzymać, złapałem kurczowo pierwszego z brzegu za rękę.

— Weź rękę, bo po niej dostaniesz, tu jeszcze nie jesteście panami! — zaszczał głos. Spojrzałem wokół, twarze były ostre i nieprzyjazne, spojżenia nienawistne. Zaczynałem tylko pięści aż zatrzeszczały stawy. Chciałem im wykrzyknąć: wszystko co pali się pod koszu! Chciałem im pokazać znów taką samą koszulę, której nie zdejmowałem od dwóch miesięcy, jak wówczas, w tamtych parszywych latach. A jednak milczałem. Nie obudziło ich odebranie dziedzicowi ziemi, nie obudziły ich nowe rosnące chałupy, nie obudził ich dwór, w którym aczyli się ich dzieci, czulem się jak skąpiec, któremu rozspala się sakiewka pełna złota, a ja znów byłem ślepecem i bezradnym rękoma błądziłem po domach, polach, czy drogach, odgadując tylko zarysy kształtów i nie więcej.

— Czy to prawda? — Nie dawałem za wygraną. — Czyje były te pola? Rozrzuciłem wokół ramiona — a czyje są one teraz? — powtórzyłem — wskazując na nie. Ludzie wycierali głośno nosy, niespokojnie przechodzili z miejsca na miejsce. W końcu jeden z nich podszedł bliżej — słuchaj, nie krzycz, bo u nas ziemia milczy... — przymrużył oczy w szparki, przyciskając palec do splekanych od mrozu warg. Ziemia — święta rzecz, a ty — odszedł jeden — machnął ręką w kierunku dworu — przysłuchajcie wy, odejdziecie i wy, a my chłopcy — zostaniemy przy ziemi...

Rzuciłem się, jakby mnie ktoś z tyłu pchnął nożem. — Jesteście w PSU-u, no, gadajcie, przynajmniej się? — dopadłem do nich — milczeli.

Cóż mogłem im jeszcze powiedzieć? Oto był spadek Londynu w Krazu, najbardziej bolesny i najgroźniejszy, to był stoniamy Mikołajczyk wsi polskiej, jak chochoł straszący w mojej wiosce. Znow, jak w całym kraju dwie ścierające się siły. Cóż mogliśmy przeciwstawić w okresie okupacji londyńskim dolarom i zrutowanej broni, normalnej, doskonale zorganizowanej sieci organizacyjnej, gdy wszyscy z nas walczyli w kieleckich czy lubelskich lasach. Były to przecież dzieci, pozostawione w pokoju, w którym ciągle wiały przeciągi. Musieli się przezebrać, uspokajałem sam siebie. Zawróciłem do domu. Ojciec spojrzał na mnie niespokojnie. Bez słowa zjedliśmy obiad. Powiliśmy się na łóżko i milczeliśmy, beznamiętnie wpatrując w sufit.

Wieczorem ojciec coraz niecierpliwiej drepiał po izbie. Siedziałem wówczas na przybicie, ciosając palik do nowego płotu, gdy stary podszedł do mnie, spojrzał badawczo: Rozmawiałeś z ludźmi ze wsi? — Rozmawiałem — odburknąłem. — Słuchaj, — objął mnie ramieniem, — bałem się o ciebie, nie pisałem o tym, bo lepiej byś teraz nie przyjeżdżał... — schował ten pistolet, oni strzelają zza węgla w łeb, nie wyciągniesz nawet tego cacuszka — Tobie się odgryżają nie od dzisiaj, słuchaj — zacerpnął oddechu, widziałem, iż mocował się z samym sobą. — Ty tutaj spać nie będziesz. Podszedł do stołu, zebrał porozkładane na łóżku kożuchy.

— Idź spać do stogu, tak trzeba. Nie chce swojej krwi w tym domu, nowym domu — powiedział chrypliwie.

Wyszedłem z izby z kożuchami pod pachą, zataczając się jak pijany. Gwiazdy kucaly po niebie, od czasu do czasu przebyśkując jasniejszym światłem. Żółto przeblyskwały przez galeje drzew okna dalekiego dworu.

Teraz jest pewnie świetlica, pomyślałem. Możeby pójść?

Ale już po chwili zwałem się pod stóg.

Ojczyzna — pomyślałem dławiąc się łzami. Słyszałem jak ojciec starannie zapierał drzwi nowego domu. Szczekał zamek. Potem zawołał do mnie cicho: Spisz?

— Nie ojciec, nigdy, nigdy nie śpię — krzyknąłem ile sił.

— Już nie wychodź, bo spuszcze z łańcucha psa — głos oddał się razem z sylwetką.

I tak byliśmy niby razem, a samotni; ja i ślepia uśmiechających się przekornie gwiazd. Ten sam dom, rysujący się na tle nieba fioletowym konturem i psy ciągnące gdzieś tam wilczym pochoodem, wietrzącym ciągle gorące serca i gorącą krew...

Zakończenie może nieco liryczne, ale tym niemniej prawdziwe. W stogu siana czulem się jak człowiek na drzewie obleganym przez stado wilków. Nie ważna była moja śmierć. Nie oszczędzałem innych ludzi, nie oszczędzałem i siebie, ale ta samotność wśród przyjaciół sprzed lat...

Nie byłes wtedy samotny — przerywałem mu ostro — nie byłes! — dodałem z uniesieniem. Mój przyjaciel uśmiechnął się. — Wiem o tym, — mruknął niby do siebie — i dlatego poszedłem wtedy spać do stogu.

Nie śmieję się, samotność — śliczna rzecz, ale nie w tym świecie, co to rodzi się w krwi i cierpieniu. Tutaj trzeba ludzi, którzy potrafią zorganizować salwy ze swej broni, tutaj trzeba — proletariatu... A ty wiesz dobrze co to znaczy w walce dobrze prowadzony ogień? — Przytaknąłem głową.

No to chodź do nas — powiedział zaczepnie, patrząc mi prosto w oczy. Przyszedłem.

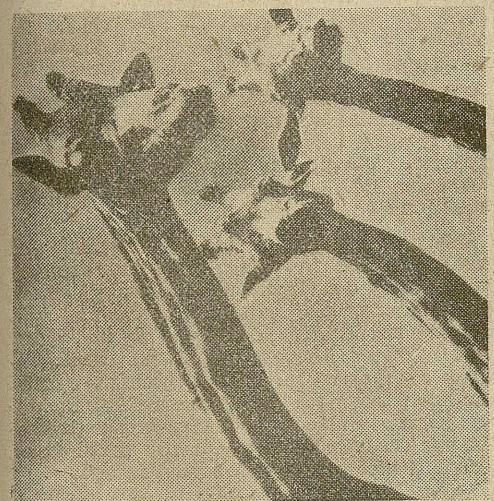
Leonard Sobierajski

PORTRETY LITERACKIE

Ma przed sobą sześć zeszytów „Wiedzy Powszechnej” z cyklu — **Portrety literackie**.*) Omówieni pisarze to: Aleksander Fredro, Zygmunt Krasiński, Henryk Sienkiewicz, Eliza Orzeszkowa, Bolesław Prus i Jan Kasprowicz. Jesteśmy więc w obrębie XIX i pierwszych lat XX wieku. Pełny cykl poprowadzi nas przez wiek XVI, XVII, XVIII i XIX, zaczyna się Janem Kochanowskim, a kończy Władysławem Orkanem, ogółem będzie zawierał dwadzieścia cztery pozycje.

Narazie czytelnik otrzymał kilka sylwetek z trzech różnych okresów naszego literackiego dziewiętnastowiecza.

Przestępuję do lektury zeszytów z nastawieniem właśnie czytelnika, tj. człowieka, który pragnie zdobyć potrzebne mu minimum wiedzy o literaturze dla większej orientacji w świecie zjawisk kultury. Czytelnik taki wierzy święcie, że „fachowcy” od tej gałęzi wiedzy dadzą mu sądy jednoznaczne, i sprawdzone, wyjaśniające pisarzy przez odniesienie ich twórczości do ogólnych procesów przemian kulturalnych, czytelnik taki, powtarzam, pragnie wiedzy, która nawet w



Bywa w badaniach literackich tak...

tych szczupłych dawkach — jakoś by mu się całkowała, wykreślała choćby z grubsza mapę literacką i plasowała na niej twórców w historycznie określonej strukturze społeczno-kulturowej. Takie są ciche żądania każdego samouka, pragnie on przy pomocy zespołu elementów otrzymać uporządkowaną, syntetyzującą się całość. Czy wymienione zeszyty spełniają ten podstawowy warunek każdej dobrej popularyzacji?

Czytam i szukam metody. Rozpaczam od szkicu o Fredrze. Autor Tadeusz Czappczyński bledzi się nad takim problemem: zły los narodu, ciężko układające się życie osobiste Fredry, a jednak pisze on komedie. Analiza ta potrzebna była autorowi szkicu do „rewelacyjnego” stwierdzenia, że mimo tych wszystkich przeciwności „zwyciężyła wrodzona odporność, wzmocniona patriotycznym uczuciem. Zwyciężył ukryty w głębi duszy talent poetycki”. Fredro oczywiście ten talent odda w służbę narodu. Tadeusz Czappczyński pisze: „W wyborze zaś formy komediowej mogliśmy dopatrzeć się... przeciwstawienia rodu, dzającej się pod wpływem wypadków depresji i konieczności podniesienia na duchu społeczeństwa w kraju, pozostawionego sobie samemu, a pozbawionego wielkich, przebywających na emigracji duchowych przywódców. W doborze tej właśnie formy realnej, jako jedynej możliwej na terenie zaborów, okazał się również realnym pisarzem i wychowawcą narodu, jak Mickiewicz, jako twórca **Książki Pięćdziesiątka** czy **Pana Tadeusza**”.

Te krótkie cytaty orientują nas w metodzie autora szkicu. Wzory metody — hr. St. Tarnowski, „Al. Fredro”. W rozprawach i sprawozdaniach, t. II, w r. 1896. Ign. Chrzanowski, „O komediach A. Fredry”, Kraków, nakł. Akad. 1917.

Przejdźmy do szkicu o Krasińskim. Autor, Andrzej Boleski, stara się wprawdzie o socjologiczną interpretację „Nieboskiej komedii” czy „Psalmodii”, co rusz jednak się ześlizguje na wyjeżdżony tor tradycyjnego ujmowania twórcy „Nieboskiej”. Powtarzają się znów tu za Tarnowskim, Kleinerem, Pinim te same chwytły. Krasiński i ojciec, Krasiński i powstanie, Krasiński i kobiety. Boleskiemu równie ciężko wyjść z cienia badaczy literatury sprzed dobrych kilkudziesięciu lat. Swoją sztukę kończy on zdaniem, w którym przyznaje Krasińskiemu, „gdy przyjmie się jego cierpienie za ekspiację”, miejsce obok Mickiewicza i Słowackiego, „w sferze najwyższych dążeń moralnych, skupionych w ognisku szczytnej prawdy: iż „celem światów — szlachetnienie”.

Lepiej sprawa przedstawia się ze szkicami o Prusie — Janiny Kulczyckiej-Saloni, o Sienkiewiczu — J. Z. Jakubowskiego i Orzeszkowej — Zofii Klarnier. Jednak i tutaj nie otrzymaliśmy jakiegos bliższego wyjaśnienia uwarunkowania społecznego, takich dzieł jak: „Nad Niemnem” czy „Lalki”. Twórczość wielkich klasyków naszej powieści nie została pokazana jako element procesu przemian społeczno-kulturowych.

*) „Czytelnik” — Biblioteka „Wiedzy powszechnej” — cykl „Portrety literackie” — wyd. 1947-8 r.

Eugenia Mądrowa

POEZJA I POLITYKA

W numerze 18(61) „Dziennika Literackiego” Józef Bieniek rozprawia się z poezją współczesną, zwłaszcza tą, która wkracza tematycznie we współczesność. Dla niego podejmowanie tak „niepoetyckich” spraw jak elektryfikacja, to obdzieranie poezji z szat piękna, uśmiercanie samej poezji.

Wydać się, jakby dla Bienieka szczytem poetyckości była pieśń o Laurze i Filonie, czy wierszowane powiastki Lenartowicza, Pola i innych. Ale czy wymienieni poeci stanowią istotnie najwyższą klasę w naszej poezji, mimo, że jest u nich i „piękny język literacki i styl przystępny, pełen prostoty i wdzięku”?

Bieniek powołuje się na przystępność i zrozumiałość Mickiewicza. Na dowód przytacza ocenę znajomego „oczytanego chłopca”, który 30 (czy nie za wiele?) razy czytał „Pana Tadeusza”, a Przybosią, przeczytawszy 10 razy od końca do początku i drugie 10 razy od początku do końca — niczego się tam nie doszukał. Fakt, istotnie zastanawiający. Bo normalnie czytelnik nie rozumiejąc tekstu odrzuca go, jako niezrozumiały. Fenomen Bienieka natomiast zaczyna czytać od końca i dopiero po dziesięciokrotnym przestudiowaniu „rakiem” decyduje się na odrzucenie książki, jako niezrozumiałej. Takim mechanizmem chwytów polemicznych posługują się blagierzy. Do czego prowadzi Bieniek? Stwierdza na wsi poczynność „Trylogii” i „Krzyżaków”. A jakoś uszła jego uwagi równoległa poczynność najgorszego rodzaju taniej bzdury. Bo nie Sienkiewicz, Żeromski, czy zwłaszcza Dunarowski są najpopularniejszymi autorami na wsi, ale Mniszkówna i Zarzycka, May i Staśko i inne brukowe już czysto wydawnictwa typu „Co tydzień powieść”.

Bieniek dziwi się, że chłopci czytają „Pana Tadeusza”, a nie czytają Przybosią. Czyż wobec pogoni chłopskiego czytelnika za żywą akcją i bogatą fabułą, można wysnuwać wnioski, że chłop prawdziwie wielką poezję (Mickiewicza) rozumie bez trudu, nie rozumie natomiast tylko „esów-floresów powojennej sztuki wierszowania”?

Przecież czytelnik chłopski w „Panu Tadeuszu” odczytuje tylko akcję, bieg zdarzeń, fabułę, ale czy rzeczywiście w pełni stanie się dla niego „Pan Tadeusz” jasny i zrozumiały?

Moje osobiste doświadczenia każą mi raczej powiedzieć — nie. Jeśli jednak Mickiewicz miał być dowodem, że poezję istotnie wielką chłop rozumie, to należałoby nie „Pana Tadeusza” wziąć na świadectwo, ale jego drobniejsze utwory, zwłaszcza „Sonety Krymskie”. Wszak wyszły one spod pióra tego samego autora. Tymczasem tych ostatnich daleko szukać, bo „strzecha”. Nawet po bibliotekach gimnazjalnych leża nieknięte, o ile nie stanowią koniecznej lektury uzupełniającej ucznia. Jeśli więc „czytelny” Mickiewicz

cy, gospodarze, ludzi ciężko pracujących na swoim „warsztacie” (produkcyjnym, czy usługowym) dla dorobku, z ciągłą nadzieją dopięcia „czegoś, co określa się tam przeważnie pełnym abstrakcją terminem majątek”. I tak samo jak inni z tego szeregu, byli wodniacy podzieleni według rang finansowych możliwości, w następstwie bytowania na marginesie wielko-kapitalistycznej produkcji.

Wszystko to skłania do zaliczenia wodniaków, podobnie jak zresztą i chłopów, do kategorii drobniomieszczanstwa. Tylko tak się jakoś składało, że do niedawna mówiono o chłopie, nie inaczej jak „historycznie” i w ten sposób izolowano go od innych, nawet bardzo podobnych do niego grup społecznych. Obecnie zaś, procesy uspołecznienia i uspołedziennienia wsi, skierowały przyszłość chłopską, społeczną i gospodarczą, na inne niż dotychczas tory, z czego na razie sami chłopci nie zawsze zdają sobie dokładnie sprawę.

Część głównych aktorów „Wisły”, która przetrwała wojnę niewątpliwie uważa się teraz za prywatną inicjatywę w stopniu nie mniejszym niż np. właściciele sklepów jubilerskich, albo magazynów z luksusową bielizną w Warszawie, Krakowie, Łodzi oraz innych miastach „portowych” wzdłuż Wisły. Poczucie to wynika po prostu, nie w jakiejś solidarności kupieckiej, lecz gruntuje się na fakcie, iż „wielka” żegluga wiślana, różne „Vistule” i „Fajanse”, zostały upaństwowione. Zaczem przeświadczenie właściciela rzecznej lichterki, zrobionej z „łyżwy” po rozebraniu moście, że kiedyś dojdzie do posiadania dużego statku jednego, a później kilku, nie może być już nawet marzeniem. I to przypomina chłopca, który rozpaczalby, że na skutek upaństwowienia jego nędznej działki przez reformę rolną do, powiedzmy, 6 ha, nie będzie już mógł pieścić w sercu nadziei, iż mógłby się dorobić, aż wiosk. Tragedia takich wodniaków i takich chłopów, opiera się na urojeniu, właściwym pewnym środowiskom wiejskiemu na skutek przejściowych koniunktur w końcowe procesy rozwojowe kapitalizmu.

Do czasu wojny „Wisła” Boguszewskiej i Kornackiego uchodziła za utwór o charakterze realistycznym, takim samym, jak np. „Grypa” szaleje w naprawie Jalu Kurka. Dziś jednak, kiedy droga do rzecznych, wodniackich zawodów prowadzi przez szkołę specjalistów, a nie przez dziedziczne terminowanie, jest już tylko pomnikiem wiślanaego egzotyizmu.

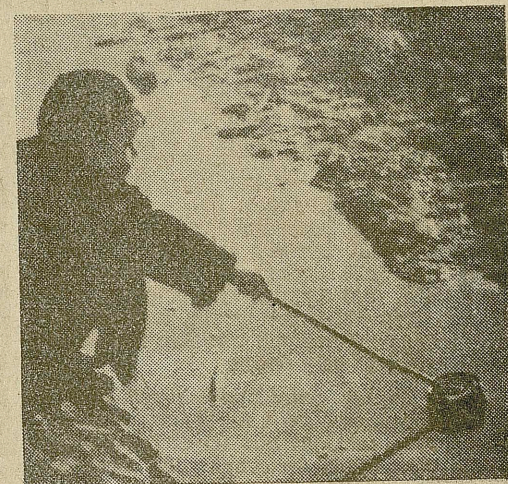
kiewicz poza kilkudziesięcioma wydaniami „Pana Tadeusza” jest tak mało rozchwytywany, czy należy się dziwić, że poezja naszych współczesnych jest tak słabo czytana?

Bo jedno z dwojga, albo gość przesadza z tym rozumieniem Mickiewicza, albo też Przybosią nie siląc się jeszcze poznać. Sady natomiast o poezji współczesnej czerpie od ignorantów i nieuków.

Bieniek staje się jeszcze bardziej tradycyjnie — mętny, gdy przeprowadza linię podziału we współczesnej poezji polskiej na poetów „całkiem niezrozumiałych” jak Przybosią, Kamińska, Bratny — i takich, których „chłopska umysłowość zdoła jeszcze strawić”. I tu wylicza: Staff, Marzec, Bąk, Baczyński, Pięta, Frasiak, Kubisz, Kubiniec.

Teraz zgadnij zgadula dlaczego metafizyczny, wielosłowny Bąk, ma być dla chłopca bardziej zrozumiały, niż naprzykład Kamińska. Dlaczego „Monolog Anielskie” mają być chłopu ideowo i tematycznie bliższe, niż „Moje pole” Olchy, albo „Wiesniaczka” Kamińskiej.

Poezję współczesną, lekceważącą uświęcone wiekami i tradycją kanony poetyckie: rym i



Bywa w krytyce literackiej i tak...

rytm stać często na niesłychanie proste i odkrywcze, dlatego trafne użycie metafory, wypowiedzianej w jednym zdaniu tak bogatą ładunek myśli, czy poetyckiego obrazu, że dla wypowiedzenia go Pol lub Lenartowicz potrzebowaliby kilku zwrotek.

Wątpię też należy, by nawrót do formalnych kanonów poetyckich „zeszytów” stuleci przyczynił poezji miłośników, czy też uczynił ją zrozumiałszą. Podobnie od strony treści — poematy filozoficzne Asnyka czy „Król Duch” Słowackiego mają tak samo mało czytelników, co i utwory współczesne. Miłośnika poezji, tak na wsi jak i w mieście, trzeba dopiero wychować.

Prawda jest, że czytelnik o małej kulturze szuka jedynie w książce rozrywki, oderwania od rzeczywistości. Wątpię jednak, by można to na dalszą metę tolerować. Można to jeszcze ścierpieć jako etap w planowej, konsekwentnej akcji podnoszenia kultury czytelniczej wsi, ale nie można z tego robić celu ostatecznego, jak to wynika z artykułu Bienieka.

Dziwić może jedynie tupet z jakim Bieniek utożsamia własne w tej sprawie stanowisko z istotnym zamówieniem społecznym wsi, zamówieniem liczącym się nie z niewybrednymi gustami intelektualnie narazie mało wyrobionej warstwy chłopskiej, ale opierającym się na dążeniu do stałego i konsekwentnego zacierania zizin kulturalnych.

Apolityczność „zamówienia społecznego” wsi, w zakresie czytelnictwa, sformułowana przez Bienieka we wspomnianym artykule, ma tę samą, i to dosyć wyraźną wymowę polityczną co i domaganie się apolityczności szkół i nauczycieli.

Zarówno w jednym, jak i drugim wypadku, apolityczność jest mitem, obliczonym na łatwowierność naiwnych.

„Ale tematem jej (twórczości — przypisek mój) musi być rzetelna wizja nowej wsi i nowego chłopca, oraz perspektywy jasnego jutra i drogi ku niemu wiodące. Wsi trzeba dzieł płomiennych jak słońce samo, zdolnych rozpalać i kultywować twórcze tęsknoty ku wyrostowi, ku wielkości, pięknu i prawdzie. Słowem takich dzieł, które by pomogły w procesie przemian budować najwyższe wartości kulturalne, społeczne i gospodarcze”.

Jak tu pogodzić „rzetelną wizję nowej wsi i nowego chłopca” i „proces przemian” z zafocowanym poglądem estetycznym, a zwłaszcza z poglądem przeciwnika poezji te przemiany opiewającej?

Cóż się nie zgadza. Albo autor usiłuje nas zwieść frazeologią, albo też rzeczywistość dzisiejszej nie rozumie.

Jestem skłonna przypuszczać to drugie.

Przemawia za tym dopiero co cytowany fragment wypowiedzi Bienieka: „jasne jutro”, „dzieła płomiennych jak słońce”, „tęsknoty ku wyrostowi i wielkości”, — to nie tylko styl to system myślenia irracjonalny, impresjonistyczny, oddający wrażenia psychiczne, ale niezdolny do poznawania, pozbawiony narzędzi intelektualnych.

W tym systemie wyrażać można odczuwanie przeszłości i przyszłości — nie więcej. I dlatego odczuwanie tradycyjnych form artystycznych jest u Bienieka pozytywne, bo te formy wychowały jego wrażliwość estetyczną.

Szkic Eugeniusza Sawrymowicza o Janie Kasprowiczu znów nas wprowadza w żargon krytyczny, jaki wytworzyła grupa krytyków, wyrosłych na tradycjach literackich Młodej Polski. Wzorami dla autora szkicu będzie A. Górski, A. Lange, Zygmunt Wasilewski, Stefan Kołaczkowski, Sawrymowicz dzieła Kasprowicza wyjaśnia jako ilustrację psychiki twórcy. Posłuchajmy takiego passusu: „W swej gwałtownej, bujnej naturze przetrzącał się do krańcowych sprzeczności i dlatego poezja jego ma w sobie porywającą, ale i przytłaczającą potęgę. U Kasprowicza, jeśli burza — to taka, że wśród błysków i piorunów, świat wali się w gruzy! Jeśli cisza — to taka, że słychać jak modlitwa ułata ku Bogu! Jeśli miłość — to taka, co ogarnia...”

Czytelnika pierwszych szkiców literackich (Biblioteczki „Czytelnika”) ogarnia poważne zaniepokojenie. Jego głód uporządkowanej wiedzy o literaturze, nie znajduje tu zaspokojenia. W całej akcji nie widać próby jakiegos jednolitego ujęcia. Jest tu cały las metod. Przypuszczam, że niedostatecznie sprecyzowane zamówienie na odrębne prace powoduje tę daleko idącą dowolność. A sprawa jest bardzo ważna, bo wyobraźmy sobie kilkadziesiąt szkiców o naszej literaturze, załatwionych metodą sprzed pół wieku — jaki zamęt w głowie ucznia gimnazjalnego, nie mówiąc już o samouku, toż to i nauczycielowi tu bezzadanie opadają ręce, gdy bledząc się nad wyjaśnieniem uczniom związków między twórczością Orzeszkowej a sytuacją degradującą się ekonomicznie i społecznie szlachty, sięga się po szkic o Orzeszkowej i natrafia tam, na takie zdania: „Dlatego dziś, w czasie odradzania się zmiążdżonych przez najstraszniejszą z wojen podstaw kultury, możemy swobodnie odetchnąć w szlachetnym klimacie jej książek (podkreślenie moje). Zawierają one prawdy proste, lecz tak bezmiernej wagi, że od ich realizacji (podkreślenie autorki), zależy przyszłość świata”. Entuzjazm jest rzeczą szlachetną, lecz chyba bardziej wychowawcze byłoby zachowanie proporcji w ocenie naszych zjawisk literackich, gdyż wtedy tylko możemy kuśnić się o jakąś obiektywną ich wymierność.

Uważamy, że sprawę cyklu: portrety literackie „Wiedzy Powszechnej” należy poddać jak najszybszej rewizji. Rewizji tej powinno dokonać Wydawnictwo. Byłoby przecież absurdem popularyzowanie wiedzy o literaturze, posługującej się metodą absolutnie dziś nieprzydatną i szkodliwą w wyjaśnianiu zjawisk literackich. Najnowsze badania starają się pokazać dzieło literackie w ogólnym kontekście społeczno-kulturowym. Tego rodzaju popularny komentarz bardziej by zachęcił do poznawania literatury niż kaznodziejskie chwytły, głoszące wielkość świętych pańskich literatury.

Jerzy Falenciak

MAŁA EGZOTYKA

„Wisła” H. Boguszewskiej i J. Kornackiego ukazała się po raz pierwszy na kilka lat przed wojną. Obecnie została wznowiona *).

Ówczesna krytyka literacka uznała tę powieść za najważniejszą pozycję twórczości Boguszewskiej i Kornackiego, piszących w spółkę autorską. Szukano oczywiście analogii, wskazywano utwory wydawane dawniej i gdzieśindziej na tematy, jak to się mówi, wodniackie, wnioskując ostatecznie, że jest to pierwsza najbardziej udana epea naszej, też jak to się mówi, królowej rzek.

Znawcy literatury piszący wg. tradycyjnej recepty widzieli w „Wisła” odkrycie rodzimego egzotyizmu, „Murzyna z załogi Narzeczona”, albo „Wilka morskowego” w szklance czyha, albo „Przyszedł film pod zmienioną wodą”. Za tym przyszedł film realizacją Forda i Zarzyckiego, przyrównywany do pamiętnego filmu amerykańskiego „All Men Rivers” czy jak tam on się zwał.

Krytycy publikujący w prasie lewicowej odkrywali w „Wisła” realizm społeczny, (nie gospodarczy), dostrzegając w jej bohaterach przedstawicieli zawodów robotniczych. Mimo wszystko stanowiło to uproszczenie i uogólnienie usprawiedliwione wówczas zbyt słabą podbudową naukową poglądów społeczno-gospodarczych ogółu inteligencji lewicowej.

Ponieważ krytyka literacka, jaka by nie była, wpływa na powszechną ocenę dzieła w sposób okresowy, trzeba więc dziś spojrzeć na raz jeszcze na ludzi i wydarzenia „Wisły”. A raz jeszcze ci, przedstawiciele najcięższej pracy ludzkiej i zarazem mali speculanci (może fizycznej i zarazem mali speculanci), nie są robotnikami. Większość z nich to właściciele rzecznych barek, batów i galarów, nieraz gratów bez żadnej wartości, jako obiekty do inwestowania ciulanych kapitałów, ale zawsze środki, „zespoły środków technicznych i osobowych” przeznaczone do uprawiania żegluga zarobkowej po rzece Wisła.

Nie są ci wiślanie armatorzy drobnym mieszczaństwem z tego samego koryta, co sklepikarze, rzemieślnicy i faktory, bo nie mieszkają w mieście, czy gdzie indziej, co to miasto przypomina. Czy zresztą można w ogóle mówić, że się mieszka, przebywając całe życie na statku?

Alle ekonomicznie należą do szeregu, mieszanego środowiska (sklepiarzy, rzemieślni-

*) Warszawa, 1948 r., Gebethner i Wolf.

Dymna zasłona i zaufanie

Jeszcze nie zatarło się przykre wrażenie jakie wywołało zachowanie się episkopatu polskiego wobec listu papieża do biskupów niemieckich, gdy oto kler nasz dostarczył nowego dowodu jak dalece przejęty jest troskami nurtującymi społeczeństwo, w którym żyje i z którego żyje.

Jeśli mieliśmy wątpliwości co do obywatelskiej postawy naszego wyższego duchowieństwa, z kardynałami Hlondem i Sapieha na czele — to obecnie zostały one całkowiście rozproszone.

Sens milczenia po liście papieskim do biskupów niemieckich, liście godzącym w nasze narodowe interesy — jest zupełnie jednoznaczny. Jednoznaczność tę podkreśla dymna zasłona ostatniego listu pasterskiego.

Jeśli nasz kler zdobywa się na akcję przeciw własnemu społeczeństwu, społeczeństwu dźwigającemu się z ruin, a nie znajduje słów, które by wyraziły zastrzeżenia wobec papieskiej polityki rozgrzeszania z win notorycznego zbrodniarza — to nie jest to wyłącznie sprawa każdego katolika oddzielnie.

Problem stoi w skali międzynarodowej — i nas, którzy chcemy żyć i pracować obchodzą to w pierwszym rzędzie.

Mogliśmy dopuścić czystość intencji u najwyższych dostojników kościelnych, gdyby chodziło o teoretyczny problem zbiorowej odpowiedzialności narodu niemieckiego za popełnione zbrodnie, bo wiadomo, że kościół uznaje tylko odpowiedzialność indywidualną, ale list papieża wziął wyraźnie pod opiekunkę skrzydła systemu katolickiego cały naród niemiecki, nie robiąc żadnych różnic między jego członkami. To jest problem praktyczny, problem zaufania do wartości wychowawczej systemu katolickiego. Jakże możemy na przyszłość ufać temu systemowi, jeśli pod jego skrzydłami wyrosły gadziny faszyzmu i hitlerizmu, jeśli system ten nie wyeliminował nikogo, nie zagroził ekskomuniką nikomu, kto przywdział czarną koszulę cesarza mordował naszych bliskich, kto zagwiał wojny podpalili cały świat.

Interes narodu zagrożonego przez mordercę, któremu ryczałem i na wyrost wybaczała wszystkim, ostrzega nas, że czarna międzynarodówka objęła patronat nad brunatną. Wyciągnijmy z tego konsekwencje.

P. M.

Kiedy się słucha Marshall'a

Francja przed wojną była krajem znacznie zamożniejszym niż Polska. Z wojny Francja wyszła mniej zniszczona niż Polska. Ale Francja była również jednym z pierwszych krajów, który zatwierdził i przyłączył się do t. zw. planu Marshalla. Jakież są efekty?

Przed niedawnym czasem sekretarz związku zawodowego pracowników kolejowych Tournament oświadczył, że obniżenie subwencji na roboty drogowe — spowoduje bezrobocie 40 tysięcy robotników francuskiego towarzystwa kolejowego. Czy sprawa ta łączy się z planem Marshalla? Przed wojną Francja produkowała 15 — 20 tysięcy wagonów rocznie — po wojnie wyprodukowała summa summarum — 27.800. Ale w tym samym czasie wysłano ze Stanów Zjednoczonych do Francji 48.750 wagonów produkcji amerykańskiej.

Nie bez przyczyny prasa francuska pisze bezustannie o agresji kapitału amerykańskiego we Francji. Przed niedawnym czasem redaktor jednego z największych pism francuskich, w czasie pobytu w Polsce, oświadczył, że we Francji nie można obejrzeć francuskiego filmu.

I cóż dalej? Francja obniża subwencje drogowe, produkcję filmową itd. itd., a premier Schumann mówi, że plan Marshalla uratuje Francję od kryzysu gospodarczego.

Na Francję nasza inteligencja patrzyła jako na centrum „europejskości”. W Paryżu dla niej trwała wieczna wystawa nowości kulturalnych, od filozofii do wzorów mody. Jeżeli tak było i to nawet długo, to przecież w najbliższym związku z podstawą gospodarczą tego wykwiłu kulturowego. Trujące coraz bardziej kwiaty sztuki i myśli francuskiego mieszczaństwa rodziły się na równoległe dewastowanej podstawie gospodarczo-społecznej. Jeżeli dziś ze smutkiem ukazujemy skutki wpływu USA na sytuację społeczną — ekonomiczną Francji, chcemy przez to zwrócić uwagę i na konieczność nowego rozumienia kulturalnej „europejskości”. W państwach demokracji ludowych, gdzie są wielkie, historyczne zapóźnienia, tętni dziś i rozwija się nowe życie gospodarcze, w nowych stosunkach społecznych i tu trzeba uważnie obserwować pierwiastki dalszego etapu „europejskości” kulturalnej.

K. S.

Polska i Czechosłowacja

Stosunki polsko-czechosłowackie stają się coraz bliższe. Po oficjalnych wizytach dyplomatów, odwiedzali się wzajemnie sportowcy i literaci, a ostatnio kilkuset chłopów — samopomocowców oglądało w ciągu maja br. Słowiańską Wystawę Rolniczą w Pradze oraz gospodarkę rolną Czechów i Słowaków.

Skutki różnych dyplomatów i misji ekonomicznych obu krajów są powszechnie znane. Mamy sojusz polityczny, ożywioną wymianę gospodarczą z Republiką Czechosłowacką. W najbliższych miesiącach przyjadą do Szczecina brygady studentów z Uniwersytetu Masaryka do pracy nad uruchomieniem, przyznanej bratniemu narodowi, części portu. Dzielimy się morzem.

F A K T Y i Z D A N I A

Ożywiła się także wymiana kulturalna. W Pradze, Brnie, czy Hodoninie można kupić czechosłowackie przekłady współczesnej literatury polskiej, słuchać naszej muzyki...

To wszystko mamy i chodzą nam tym razem o należyte wykorzystanie pobytu polskich chłopów w Czechach, na Słowaczynie i Morawach. No, bo sprawa jest bardzo ważna.

Przodownicy wsi samopomocowych, inżynierowie rolni z Oświaty Rolniczej, przedstawiciele społecznej i fachowej pracy chłopskiej mieli możność przyrzeć się stosunkom w produkcji rolnej Czech i Słowacji. Ustalić stopień specjalizacji gospodarstw, wydajność z ha dla poszczególnych upraw, poznać społeczność chłopską, naszego południowego sąsiada, zbadać strukturę i funkcjonowanie Oświaty Rolniczej, zapoznać się z przemianami w życiu społeczno-kulturalnym i politycznym wsi czechosłowackiej...

Wycieczka chłopów polskich, zupełnie przeciętna inna niż snobistyczne wyprawy „turystów” — estetów po zagraniczne naklejki na walizkach — powinna zaznaczyć się na naszych wsiach. Bogaty materiał doświadczeniowy musi być przekazany możliwie wielkiej ilości chłopów polskich.

Przypuszczamy, że Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej i Wydział Oświaty Rolniczej w Min. Rolnictwa przewidzieli już wcześniej odpowiednie odczyty w świetlicach terenowych, a redakcji tyg. „Wiś” ułatwią przeprowadzenie ankiety wśród uczestników wycieczek do Czechosłowacji na temat ich wrażeń i obserwacji.

W. J.

Telefon i jałmużna

Krew zalewa pewne „koła”, gdy muszą przyjmować do wiadomości takie fakty jak „najazd” na wieś szkół, ksiązek, prądu elektrycznego, silników, motorów, maszyn, twardej nawierzchni dróg, domów z łazienkami itp. Jasne, że szlag może trafić, gdy wynymka się z rąk utarty wiekami kulturowy porządek, w dodatku, jeśli na jego cmentarzysku przychodzi również złożyć głowę autorytetom wszechwładnie rządzącym tym porządkiem. Epigonom tym zatruje tego schyłkowe dni ich życia wiadomość, jaka napływała ostatnimi czasy z gminy Baków, pow. łowickiego. Oto chłopci tamtejsi założyli słoty w każdej wsi telefon. (Tam do diabła! A co jutro?!).

Co będzie w gminie Baków jutro — tego nie wiem. Wiem natomiast, co jest dziś. Wylizamy: oddawna żywe życie organizacji gospodarczej i społecznej, gimnazjum i liceum ogólnokształcące, roczna żeńska szkoła rolnicza, gimnazjum rolnicze, ani jednego dziecka poza szkołą, świetnie rozwijające się życie spółdzielcze, szereg instytucji charakteru społ. gospodarczego i dorobek powojennych już dni, wyrażający się bardzo irytującymi „starowierów” (jak mówią łowiccy chłopcy) — nazwami — elektryfikacja, radiofonizacja, mechanizacja (lub jeszcze gorzej — industrializacja!), a teraz... telefonizacja.

Taki jest fakt. Skąd się znalazł? Przypadek? Czyjaś łaska? Cud? To ostatnie jest niewatpliwe, jeśli zestawimy telefon np. z alfabetyzmem, kurną izbą, kołtunem. Ale w instalacji tego „cudu” nie pomógł ani przypadek, ani też cudza łaska. Chłopi łowiccy, smakując dobra kultury, coraz bardziej buntują się przeciwko wyznaczonej im przez pewną ideologię roli pariasów kultury. Sięgają po nieosiągalne dotychczas rzeczy, zdobywają coraz to nowe pozycje. Wyrównują historyczny bieg. To sięganie, to likwidowanie różnic jest rezultatem ich inicjatywy.

Czy inicjatywa ta jest ważna?

W dyskusjach na temat współzawodnictwa na wsi wśród „pewnych ludzi” zjawiał się bardzo interesujący chwyt. Oto twierdzili oni, że wieś jest w nastroju zupełnej beznadziei, że bezwolnie czeka na kredyty i subsydia ze strony państwa, że nie poza tym jej nie interesuje, że nie przejawia żadnej żywotności.

Zatem, — jeśli chcecie mieć na wsi postęp — dajcie pieniądze, dajcie maszyny, dajcie konie, krowy i instruktorów...

Rozumiemy tych panów. Rozumiemy bardzo dobrze. Oto należy wieś osadzić jako bezwolną, tępa, bez żadnej inicjatywy, bez śmiałości na drodze postępu, wieś, którą trzeba ciągnąć gwałtem i karmić jałmużniczymi datkami w formie subwencji i dotacji, wieś irytująca i zupełnie nie leżąca na płaszczyźnie aktualnych przemian. Lepiej zawczasu machnąć na nią ręką, a wtedy...

Wtedy będzie po starciu. Będą „pasterze i owieczki”, a dla wsi „dawne, dobre czasy”. Trochę jałmużny i wieś bez irytujących nowotworów językowych — elektryfikacji, maszynizacji, telefonizacji. I bez współzawodnictwa.

Ale pomyliliście się, panowie, w obrachunku. Zapytajcie o to któregoś z słotyś w gminie Baków. Możecie nawet zatelefonować, tak nie daleko są dziś od was.

K. P.

Wakacyjne praktyki zagraniczne

Przed wojną istniała Liga zbliżenia międzynarodowego młodzieży akademickiej. Jednym z punktów programu współpracy były oczywiście wzajemne zagraniczne wyjazdy. Wyjeżdżali od nas akademicy trochę podobnie, jak to się działo z dyplomatami — kulturalnymi ekspedycjami, opisanymi przez Iwaszkiewicza w „Nowelach Włoskich”. Byli to zazwyczaj facci o „dobrej prezencji i manierach”, środowiskowo — arystokraci lub ich kibice. Społecznie — „cudzoziemcy” we własnym narodzie.

W rozmowach, jakie w Czechosłowacji miałem z Czechami, Bułgarami i Jugosłowianami, wracało często zagadnienie, jak mało wiedzą wzajemnie o sobie narody słowiańskie. Jak bardzo trzeba tę wiedzę udostępnić masom ludowym.

W roku bieżącym wyjedzie do różnych krajów kilkuset naszych akademików na tzw. praktykę wakacyjną. Na ile się orientujemy, duży głos w wyborze kandydatów miały zarządy akademickie wymiany zagranicznej studentów. Wiemy, że firmy tych zarządów są ludowe i zdemokratyzowane, ale nie bardzo wiemy, kto pojedzie w wyniku selekcji tych zarządów? Jakimi były kryteria wyboru? Po trzech latach można już mówić o **przodownictwie intelektualnym**, wybitnie wyróżniającej się **mlodzieży akademickiej**. Widać to na seminariach, w pracowniach, w prasie technicznej i literackiej. Pojedzie przecież tak mała garść studentów, że muszą oni być **usami i oczami narodu**. Nie przeciętny politechnik, nie przeciętny medyk, czy humanista. Ale ci, którzy wnosili już do Ministerstwa projekty organizacji zdrowia w Polsce, projekty przebudowy wsi i miasteczek, projekty nowych form organizacji fabrycznej, nowych metod badań humanistycznych. Z jednej strony wyprawa za granicę mamy obowiązkiem ich możliwości społeczno-twórcze wzbogacić, z drugiej strony ich obserwacje będą najcenniejszymi z możliwych obserwacji, ich publiczne sprawozdania oparte o autorytet przodownictwa intelektualnego wśród kolegów — najciekawsze i najbardziej gruntowne.

Krótko mówiąc, w stosunku do wyjeżdżających akademików za granicę na praktykę wakacyjną stawiamy takie warunki:

1) nie może to być sprawa tylko wewnętrzno-prywatna, ani uniwersytecka, który wysyła, ani studenta, który wyjeżdża.

2) oczekujemy zarówno od humanistów jak i techników sprawozdań (a jest w tym zakresie wcale dobra tradycja — referat Judymana o stanie technicznym i społecznym medycyny we Francji).

3) sprawozdania te winny być, jak najszerzej upublicznione i spopularyzowane: w pismach fachowych, literackich, codziennych, w kołach naukowych studenckich, seminariach, publicznych odczytach.

Zobaczmy po tych sprawozdaniach, kogo w tym roku stało się sprawą ważną, wymagającą przygotowań całorocznych. Nie ci, co chcą wyjechać będą tu na pierwszym planie, ale ci, co powinni. I tych to z seminariów, instytucji i pism trzeba będzie zapraszać w dowód uznania ich osiągnięć naukowych i dla pogłębienia tych osiągnięć.

P. Ch.

Troski tyg. „Dziś i Jutro”

Spotkałem kiedyś przed wojną staruszkę — legitymistę tak zaciekłego, że wszystkich niechętnych już wtedy „władców” kontynentalnych uważał za uzurpatorów. Próbował mi nawet dowodzić, biadając nad upadkiem legalnej władzy, że zło zaczęło się od rewolucji francuskiej i Napoleona.

Podobnie niewdzięcznego zadania podjęło się „Dziś i Jutro”, zamieszczając tłumaczenie artykułu Jana Papiniego „Antykościół”.

Jan Papini ma pretensję do historii, ściślej do wieku siedemnastego, kiedy to, jak twierdzi — ukształtowały się główne dogmaty „Antykościół”, a więc przestano traktować Objawienie, jako sprawę poważną i widziano prawdziwe przeznaczenie człowieka nie w niebie i w wieczności, ale na ziemi, w granicach czasu.

To „banda Voltaire'a i Holbacha wystąpiła przeciwko Rzymowi i przeciw Niebu”. Czytelnik z przyjemnością notuje tę identyczność interesów, która u nas bywała rozciągnięta nawet na plebańską dziesięcinę — i ze szczerym zainteresowaniem brnie dalej, by dowiedzieć się dokładnie na czym polegała instytucja Antykościół.

Po pierwsze: wiek siedemnasty miał czołową twierdzącą, że „człowiek rodzi się jako istota dobra z natury”; po drugie: „ludzką, dzięki wyzwoleniu myśli i odkryciom nauki, w tym zdąża coraz śpieszniej i nieomylnie w kierunku coraz większego postępu”; po trzecie: „w najbliższej przyszłości będziemy się cieszyć rajem na ziemi i tylko na ziemi”.

Nazywa Papini te twierdzenia „Antykościół” dogmatami sprzecznymi z nauką Kościoła o grzechu pierworodnym, o prawdziwym postępie, który jest postępem moralnym, wewnątrz ludzi, i o ziemi jako tylko ciałym przedsięwzięciu wieczności.

Słowo „dogmaty” stosuje Papini na określenie postawy wieku siedemnastego, by tym łatwiej i z większym hałasem ją obalić, acz wielokrotnie rezygnuje z pomocy apologetyki katolickiej, powołując się na wyniki doświadczenia historycznego, na nieuzgodnione odpowiedzi „uczonego, satanisty i schizmatyka”. Uczonym jest Zygmunta Freud, który jakoby nauką o podświadomości pogrzebał raz na zawsze mit głoszony przez Rousseau'a o pierwotnej dobroci człowieka.

Satanistą, i schizmatykiem chyba, jest Baudelaire, autor „Litani do Szatana”, który wg. Papiniego autorytatywnie stwierdza: „Jedyny, prawdziwy postęp polega na zmniejszeniu śladów grzechu pierworodnego”.

Czy Papini (oraz „Dziś i Jutro”) nie poszkapili się zbyt — posługując się takimi świadectwami na udowodnienie swojej tezy, że „człowiek jest z gruntu zły i wobec tego należy go czym prędzej oddać pod kuratelę Rzymu i plebana, którzy — jak mówi historia — papieża i jego władzy nad Europą — dokładnie dowiedli, że ziemia może być nader ciałym, diabła ciałym, choć nie w tym samym stopniu dla kleru, co dla chłopów, przedsięwzięciem wieczności? Co do tego mamy nawet więcej pewności, niż co do istnienia nieba albo piekła.

Następnie. Tylko w obrębie myśli świeckiej odrzucającej Objawienie możliwe jest rewidowanie i obalanie poglądów, w ogóle antydogmatyczna postawa wobec cokolwiek twierdzeń; brak jej za to w kościele. Artykuł więc Papiniego może być wyrazem tęsknoty zrozumiałej u człowieka, który niedawno wrócił na łono Kościoła do „dogmatycznej drzemki”.

Wreszcie — ktoś, kto nie wierzy w Objawienie, nie może uwierzyć w satanizm Baudelaire'a, nawet gdyby nie pamiętał, że to poeta. W szatana wierzą tylko ludzie pokroju Papiniego.

Odległe wczoraj — jak sztydło z worka — wyłazło z tygodnika noszącego nazwę „Dziś i Jutro”.

Chyba, że takie **jutro** urzeczywistni się w wieczności.

E. F.

ADMINISTRACJA „WSI”

ZAWIADAMIA, ŻE SĄ DO NABYCIA
ROCZNIKI „WSI” W OPRAWIE
Z ROKU 1947.

CENA ROCZNIKA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI ZŁOTYCH 1.500.—

W OSTATNIM NUMERZE 22 (151)
Z DNIA 30 MAJA 1948 R.

Dymna Gałąź — Ewolucja ludowa; Jan Maria Giesges — Na targu; Listy polityczne — Polityka moralności; Alina Nofer — Od „Lata” do „Szelekspira”; Lech Budrecki — Poza nauką; Anna Kamińska — Wiersze — W ogrodzie — Na pytanie jak się ubieram na wiosnę; Wiktor Woroszyński — „Otello” i historia; Wiesław Jazdyński — Szkoła przyszłości; Witold Łukaszewicz — Towarzystwo Demokratyczne Polskie; Józef Pogan — Typy wiejskie; Józef Kapuściński — Lichwa i lichwiarze; Teodor Rosicki — Nowy werkmistrz; Kazimierz Podlasiak — „Worek z kartoflami”; Piotr Chmura — W sprawie publicystyki; Jerzy Falenczak — Elementarz historii; Fakty i zdania; Komunikaty; 10 ilustracji; 12 stron.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 50.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;
1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł, kwartalnie 180.— zł, półrocznie 360.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto
P K O ŁÓDŹ VI 1 — 1080.

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, świrk 2. D-026140